

ASPIRACJE

MAGAZYN
LITERACKI
MŁODYCH

NR 22 (57)
STYCZEŃ 2018
TARNÓW

publikacja

GRUPY MŁODYCH AUTORÓW

Dział dla Dzieci i Młodzieży MBP

33-100 Tarnów, ul. Staszica 6

tel.: (14) 688 8023/24 w. 28

e-mail: wolek@biblioteka.tarnow.pl

wybór i opracowanie tekstów

ZBIGNIEW „LESZCZYC” MIROSŁAWSKI

rysunek na okładce

KRYSTYNA BANIOWSKA-STĄSIEK

ISSN 2081-8912

wydawca

MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA

im. Juliusza Słowackiego

Instytucja Kultury Miasta Tarnowa

33-100 Tarnów, ul. Krakowska 4

tel.: (14) 688 8021/22, fax (14) 688 8022

e-mail: mbp@biblioteka.tarnow.pl

www.biblioteka.tarnow.pl

WSTĘP

Numer 22 (57) „Aspiracji” to prezentacja POEZJI: Zuzanny Abrysowskiej, Moniki Chytróś, Doroty Kareckiej, Marii Marzeny Korol, Krystiana Janika, Marii Kwater, jeden utwór zapowiadający już grudniowe święta Amelii Romanowskiej (debiut!), Dariusza Romanowskiego, Zbigniewa Mirosławskiego, Mirosława Erica Sułkowskiego oraz poety tworzącego w Polsce i w Grecji Withkacego Zaborniaka.

W dziale PROZY przeczytamy: Zbigniewa Mirosławskiego opowiadanie historyczne *Broczkowscy, dzieje dziewięciu pokoleń. Waleczni, kominiarze, emisariusze, w obronie honoru i niepodległości Polski*, Marii Marzeny Korol opowiadanie *Był sobie miś* i Justyny Sznajder *Labirynt*.

RECENZJE to refleksje Zbigniewa Mirosławskiego o opowiadaniu M. M. Korol *Był sobie miś* i tomiku Ewy Sonnenberg *Moi papierowi kochankowie* oraz Małgorzaty Płanik o nowej płycie *Spirit* zespołu Depeche Mode.

Ppełni nadziei, że nasza kolejna propozycja znajdzie życzliwych odbiorców składamy ją w ręce Czytelników z życzeniami miłej lektury.

Leszczyc

Grupa Młodych Autorów – nieformalna grupa poetycka działająca przy Miejskiej Bibliotece Publicznej. Założona w 1989 jako Klub Młodych Autorów, skupiający dzieci i młodzież szkolną; od 1992 tylko młodzież starszych klas szkół podstawowych, ponadpodstawowych, szkół wyższych i młodzież pracującą. Od chwili jej powstania organizowane są cykliczne warsztaty literackie prowadzone w początkowym okresie przez współzałożyciela grupy A. Grabowskiego, nast. przez Z. Mirosławskiego. Członkowie publikują swoje próby poetyckie i literackie w czasopismach GMA: „Magazyn Autorów z Tarczą” (1990-96), „Igrasznik” (1992-98), „Kajet Artystyczno-Kulturalny tudzież (Nie)Użyteczny Społecznie” (1998-2004) i „Aspiracje” (od 2005).

Za: E. Stańczyk: Grupa Młodych Autorów.
W: Encyklopedia Tamowa. Tamów 2010

POEZJA

Motto

764

*„Przecucie – jest tym długim Cieniem – na Trawniku
Znakiem – że Słońca zachodzą i nikną...”*

/Emily Dickinson, tłumaczenie St. Barańczak/.

ZUZANNA ABRYSOWSKA

CZARNA DZIURA

Nosimy w sobie,
nic o tym nie wiedząc,
zachłanną czarną dziurę.
Im więcej jej damy,
tym więcej pochłonie,
strawi i unicestwi,
nic nie pozostawi.

Niemocnością zaspokojenia ziewająca,
czarna, bezdenna czeluść wchłonie wszystko,
co nas dotknie dobrego, pięknego.
Niezaspokojona, chce więcej i więcej do kresu.

Czarna materia
żarłoczna, bez granic,
nienasycona do końca.
Tak dużo jej w każdym z nas.

CZYM SIĘ MARTWIMY

Żyjemy w błogim braku świadomości,
profani nauk ścisłych i tajemnych.
Przejmujemy się brzmieniem zwykłych wiadomości,
małymi problemami własnymi, wielkimi ludzkości.

A wszechświat w ciągłym ruchu wokół nas szaleje,
gwiazdy i galaktyki pędzą w ruchu nieskończonym,
po orbitach nieznanym, w kierunkach nieokreślonych.
Powstają super nowe, czarne dziury z białymi karłami.
Nawet zawsze czczone, nasze własne Słońce,
grozi nam, ludziom swymi rozbłyskami.

Nikt nie przewidzi, najwięksi uczeni,
kiedy piorun w nas pośle w kolejnym wybuchu.
Wtedy nasza ziemia się całkiem odmieni.
Spopielona doszczętnie stanie się okrucem
martwego piasku ziarnka.

WRÓĆ BAJKO

W bajkach wszystko jest proste:
dobro nagrodzone, zło ukarane.
Czarne i białe.

W życiu - mieszanka kolorów,
nic nie jest proste.
Kary los wymierza bez winy,
nagrody - bez przyczyny.
Zapętle się i przeplata
przyczyna – skutek – przyczyna.

W bezruchu trwa waga Temidy.
Wróć bajko!

JA

krzyknęłam Ja Jestem
świat odpowiedział ciszą

obiecano mi wieczność
płakałam
świat milczał

zabiłam moje Ja
umilkłam
świat milczał

ja milczę
świat milczy
milczymy

KRAINA WULKANÓW

W oparach siarki
siwi święci starcy
od wieków śpią
w chmurnej pościeli
w odcieniach grafitu.

Jeszcze pełni wigoru
chrapią groźnie przez sen,
czasem rykną gniewnie,
gotowi w każdej chwili
wybuchnąć ukrytą złością.

Wulkany Indonezji
w majestacie grozy
boską łaską chronią swój lud.

*Indonezja, Jawa, 2012 r. (według miejscowych wierzeń
wulkany są siedzibą bogów i dobrych duchów)*

BAWOŁY

Co wie ten bawół,
w młodzieńczej nieświadomości
leniwie brodzący z wieśniakiem
po podmokłym zielonym polu?

Czeka go długa droga
na cotygodniowy targ w Rantepao,
godzinami w upale.
Bawoły białe i czarne

z uniesionymi wysoko głowami,
zawieszone na powrozach za nozdrza
w oczekiwaniu na co?

Na zakup na ofiarę,
na długą brutalną śmierć,
na krótką wspaniałą ucztę.

Indonezja, Sulawesji (Celebes), lud Toraja - 2012r.

KUPUJCIE, KUPUJCIE

Kobiety doświadczone życiem,
handlarki z targów i parkingów,
siostry bliźniaczki z okolic równika
z poskładanym w kolorową kostkę
towarem złożonym na straganach głów.
Wypalone zwrotnikowym słońcem,
wymoczone w ulewnym deszczu,
zmęczone tak samo wszędzie,
jednakowo przesiewają przez ręce
materiały utkane w barwach tęczy.
Jednakowo zwodzą nas na pokuszenie,
tak w indiańskim Chichicastenango
jak pod Agung – hinduską świętą górą.

Indonezja, Bali, parking przy restauracji, 2012 r.

THE DRAGONS

Wielkie jaszczury -
smoki bez skrzydeł,
przedpotopowe gady - czekają.
Pozornie spokojne wylegają się leniwie,
na szarym podłożu rozciągają szare ciało.
Przymykają wylupiające oczy.
Leżą.
Czekają.
Gdy się zbliżysz uniosą łeb, łypną groźnie,
wysuną jęzor biały, długi, rozwidlony,
wyprężą potężne pazury.

Ostrzegawczo.
Gdy dasz im okazję, na pewno skorzystają.
Ale teraz najedzone wypoczywają.
One mają czas.
Dużo czasu.
Czekają.
Teraz my tu rządzymy,
lecz kiedyś nas nie będzie.
A one będą.
Będą jak zawsze.
Przetrywają.

Indonezja, wyspy Rinca, Komodo, 2012r.

PORANNY SPEKTAKL

Z głębokich cieni snu wkraczamy
w ciemnię nienarodzonego dnia,
jeszcze nieprzytomni lecz już czujni,
jednorazowi obserwatorzy jedyne go świtu -
tej jedynej chwili narodzin światła.
Ledwo obudzone słońce nurza świat w złocie,
zbocza zalewa karminem niczym świeżą krwią,
drzewa w sepii jeszcze rozwichrzone snem
małuje cieniutkim ostrym pędzelkiem
niczym chiński obraz na świetlistym tle.

W dali ze szczytu ciemnego stożka Semeru
niczym pyknięcie z czubka starej fajki
unosi się niewinny biały obłoczek
i rozplywa w dojrzewającej jasności
blednących kolorów nieba.
Niechętnie budzimy się i my
z sennego uroku rannego widowiska.

Indonezja, Java, 2012 r.

DOROTA C. T. KARECKA

(z cyklu: Rozsypane karty Tarota)

SŁOŃCE

przez chwile bezbronne ciała
krabów widziałam jak wymieniały się
domami bez firanek wachlarzowych
schodów telewizorów HD spłacanych
na raty szybciej szybciej żeby umknąć
dziobom wygłodzonych ptaków
słońca tych komorników bez skrupułów
wynoszących nawet wątrobę sąsiada
żelazo sprzedadzą w skupie złomu
to nic że za parę drobników
wystarczy ich na suchą bułkę
i dwie butelki taniego wina
wypiją je w parku jeżeli nie będzie
padało mamrocząc litanie
błuźnierstw od których przecieka
dach kapliczek świętych
bezdumni
jak kraby
szybciej

1.01.2016

* * *

dziwne że do nagłówka może zmieścić się aż
stu czterdziestu czterech pasażerów
sześciu członków załogi
i jeden Airbus A320

Mieczysław Karłowicz też zajął
tyle miejsca ale czasu

poświęconego na jego poszukiwania
w odmętach lawiny
pod Małym Kościelcem

znacznie mniej
chciał utrwalić a został utwalony
w sierpniu tysiąc dziewięćset dziewiątego
Horacy podzielił się z nim swoim wersem

25.03.2015

PRZERWA NA DZIECIŃSTWO

zrób sobie przerwę na dzieciństwo
z tych szarych renet miękkich skórek
zapachu sepii i wanilii
za kredensowych szyb okular
wstawione w komplet porcelany

zrób sobie przerwę na dzieciństwo
tę lekkostrawną przed obiadem
herbatkę z malin i bursztynu
znalezionego tuż po burzy

bo potem znowu pełny etat
tej dorosłości mdlącej często
od dań stłuszczonych ciężkostrawnych

ulepków mazi i śmietany bitej
na poklask i na przekór
za ciebie za mnie
za miliony

20.04.2011

KATEDRA

kiedy grzęzniesz w bukszpanów misteriach
odprawianych tak sztywno i wiecznie
mam ochotę zawołać lecz milczę
krzyk zburzyłby małą katedrę

miniatura ma zapach ostrzeżenia
Sęp to wiedział więc się całkiem po-szarzył
i wśród prochów marność wieczerzał
i Szarzyńskim się stał dla potomnych

a ty wyjdź już kochanie w codzienność
weź ten bukszpan gałązkę nie więcej
niech z lawendą odstrasza komary
niepotrzebnie depresyjnych myśli

24.02.2012

AUTOSTRADA TO NIE DEPTAK NA WAŁOWEJ

Siodelko roweru. Twarda rzeczywistość oddolna. Jak bardzo chciałoby się zasiąść w fotelu. Zatopić w miękkości szanującej formę. Dopieścić.

Park na Piaskówce czasy świetności ma już za sobą. Zasypany gruzami staw. Fundamenty sklepu z fantomowymi bólami.

– To ja robiłem tu schody – starszy mężczyzna patrzy na wspomnienie swojej pracy.

Czasami zostają tylko schody.

Ścieżka rowerowa jest oszustwem komunikacyjnym. Nie należy ani do pieszych, ani do zmotoryzowanych. Margines. Jak skrzypek na dachu.

Podlane kwiaty wymykają się tęsknocie. Preria nie budzi w nich głosu natury. Nawet raj nie jest dla nich utraconym.

Na rowerze można uciec myślom. Mknąć przed siebie, nie słysząc ich zdyszanego oddechu. Aż do zakrętu.

Autostrada to nie deptak na Wałowej. Rowery mają zakaz wstępu. Tu nie ma miejsca na margines. Mijanie odbywa się z obu stron.

Niepodlane kwiaty umierają.

25.07.2004

NA CMENTARZU

Wprowadzasz mnie między
ludzkie biografie
na dwie daty
zaplombowane komisyjnie

między pytania retoryczne
na które nie znam odpowiedzi
jeszcze
nie widziałam klucza
żurawi

2 VII 2004

SŁODYCZ

Nie, to nieprawda, że każdy skrawek twoich ust jest słodyczą.
Nieprawda. Słodki jest tylko ten mały kawałek, tuż po prawej stronie
dolnej wargi. Reszta smakuje zakamarkami średniowiecznych ulic, za-
błąkaną owcą, karnetem na filmy portugalskie...
Czasami błędzę w poszukiwaniu tej słodyczy. Nie mogę jej znaleźć.
A ona wisi wtedy głową w dół na trzepaku i robi balony z gumy. Woła
wówczas do mnie wesoło. I wtedy ja też zawisam głową w dół i nadmu-
chuję balony.

I nic nie muszę...

21.08.2010

A ŻE KRÓLIKOWI NIEWYGODNIE...

o wiele trudniej wyciągnąć cylinder z królika niż
odwrotnie
a jej się to udało

w trakcie piątkowej próby generalnej w piwnicznej kawiarni
przy pomocy nożyczek i pluszowego misia
który posłużył za przynętę

cylinder wygramolił się czarno na blat stolika i spoczął
w pobliżu świecy którą zapaliła własnoręcznie

wepchnęłyśmy królika do cylindra
niech będzie NORMALNIE...

teraz zamknięty w cylindrze królik domaga się swoich praw
do wolności

i jest NORMALNIE...

MONIKA CHYTROŚ (GODGOTT LA MORGUE)

1.

Znalazłem serce.

Całkiem zwyczajne, wciąż bijące choć nie wiedziałem dla kogo.

Przygarnąłem je, by nie umarło z tęsknoty, a może w nadziei, że kiedyś będzie biło tylko dla mnie.

Troszczyłem się o nie mocno codziennie dogłębnie i opieka pochłonęła mnie zupełnie na resztę życia.

Serce biło ze mną przez siedemdziesiąt lat, aż pewnego dnia przyszedł starszy mężczyzna i zabrał je twierdząc, że należy do jego żony.

A kiedy je zabrał nie miałem już siły szukać innego, przeznaczonego dla mnie, nie potrafiłem znaleźć własnego serca, pamiętam tylko tamto i ciągle do niego wracam we wspomnieniach jak i w teraźniejszości.

Może tak naprawdę było moje?

Może serce jego żony należało do mnie?

Zapewne już nigdy się tego nie dowiem, nadzieję jednak mam, że mogło tak być.

2.

Kiedy zawsze wraca do pustego domu okazuje się, że nie jest sam; gdzieś czai się stary pajak zdolny wysłuchać jego skarg, tykający zegar bezlitośnie przypominający mu kim jest i kim staje się z każdą minutą, ta sama szklanka z tą samą zawartością, obok papieros, szczęśliwie znaleziona para kapci, to wszystko czeka tylko na niego. Nie tak jak Sofia, Marcel czy choćby Edith. Chociaż ta pierwsza przejawiała jeszcze oznaki tęsknoty, o tyle kolejne jego wielkie miłości nie znały nawet tego słowa. Teraz strasznie denerwuje go to oczekiwanie, denerwuje go, że nie może być zupełnie sam, sam dla siebie, na wyłączność, po prostu być.

Jeszcze raz patrzy w lustro, jeszcze raz i kolejny, ale nic się nie zmienia. Wszystko czeka, a mnie to bardzo denerwuje.

3.

Nie zrobił nic szczególnego, co mogłoby zachwycić przyszłą miłość czy choćby resztę tego ciasnego społeczeństwa. Kiedy teraz o tym myśli, przeraża go ta przeszłość, ale wie, że nic nie może już zmienić.

Czy to dobrze?

Ciągle próbuje sobie tłumaczyć, że tak miało być, zrobił wszystko, co konieczne i na miarę możliwości, a na resztę nie miał najmniejszego wpływu.

Głupie tłumaczenie.

Przecież to wszystko było dostępne na wyciągnięcie dłoni, wystarczyło tylko rozejrzeć się uważnie i sięgnąć w odpowiednią stronę.

Łatwiej powiedzieć.

Ona też tam była?

Zastanowił się mocniej, ale nie przypomniał sobie żadnego wydarzenia, w którym widziałby jej twarz czy choćby zarys. Nie, jej na pewno w przeszłości nie było.

Więc może przyjdzie teraz?

Roześmiał się głośno bo to było żenujące. Miałaby przyjść teraz, zobaczyć go w obecnym stanie i pozostać z nim na zawsze?

Nie zrobił nic szczególnego, nic naprawdę wyjątkowego, by miała powód przyjść nawet po śmierci.

A może zrobił coś najlepszego, najbardziej wzniosłego, ale o tym nie wie? Jeszcze raz unióś kąciki ust do góry i spojrzaj w lustro.

Teraz?

4.

Oni wcale już ze mną nie rozmawiają.

A może to ja milczę?

Może to moje usta nie potrafią wydobyć ani jednego słowa, sensownego lub całkiem bez sensu, słowa, które stałoby się początkiem jakiegokolwiek rozmowy.

Czym jest dla mnie ta nieistniejąca rozmowa?

Może to wszystko jest tylko małym marzeniem, marzeniem ledwo dostrzegalnym, jednakże uporczywie tkwiącym gdzieś w zakamarkach serca, marzeniem, które może nigdy się nie spełnić i na które poświęcam zbyt wiele czasu, a może już, nazbyt szybko, spełniło się, a ja nie mam o tym pojęcia, czekam wciąż na pierwsze bądź powtarne, tym razem dostrzegalne spełnienie?

Niestety oni już ze mną nie rozmawiają.

I zupełnie nie wiem dlaczego, nie jestem przecież nikim innym ani też tym samym, jestem nadzwyczaj zwyczajnym, szarym człowiekiem, może po prostu odstrasza ich kolor moich butów, a może ten zegarek, który odmierza niezwykle dokładnie całą przyszłość i stapia ją co sekundę z przeszłością.

Nie wiem i nie podejrzewam, abym kiedykolwiek się dowiedział.

Oni mnie tylko tolerują.

Tak jak toleruje się nadejście nocy nawet kiedy wcale się jej nie chce.

Ale ona musi przyjść, nie ma innej możliwości, przyjdzie tak jak ja przychodzę co jakiś czas do nich i oni także tolerują mnie jak noc.

Może i podobny jestem do nocy, może tak samo nieciekawym, odrobinę przerażającym bo nikt nie wie, co kryje się w środku, pod osłoną fioletowych butów.

Gdyby tylko porozmawiali ze mną przez kilka minut, zanurzyli się w błogiej ciemności nocy, gdyby weszli głębiej, być może zauważyliby to, co ja widzę codziennie.

5.

na nowo
piszę
po raz nie wiem który
to samo

miłość
przeszłość
cisza
przyszłość
wiara
teraźniejszość

wciąż
na nowo
po raz nie wiem który
to samo

inne coś
nieoczywiste
pustka
pełna
nie wiadomo czego
a co znam doskonale

błysk
ciemność
ciemność
ciemność

idę tam
ubrany tylko w nadzieję
na lepsze
nie jutro
a teraz

KRYSTIAN JANIK

MORRISON

Mówili, że ktoś za ciebie umarł.
Chciałeś, żeby umierali dla ciebie.

Mówili, że przez czterdzieści dni
przebywał na pustyni i nie upadł.

Tobie wystarczyło mrugnięcie powieki.
Poczułeś w nozdrzach tchnienie szamana.

Pośredniczyłeś pomiędzy szczepami światów.
Nie kochałeś ciała, kochałeś swą żądzę.

Jaszczury opuszczają mroki grot
i odchodzą na dzikie pustkowia.

Piasek miesza się z krwią.
Poetę do snu kołyszą błyskawice.

03.07.2017.

MARIA KWATER

Wysłałam dzisiaj list w butelce,
może dopłynie do Twojej krainy,
jest w nim piasek, jod i powietrze,
jest me serce i tęsknota dziewczyny.

...jak nie da cofnąć się zegara,
i nurtu rzeki nie odwrócisz,
nie cofniesz czasu lat minionych,
to zawsze możesz w myślach wrócić...

tam, gdzie wysłany list w butelce
rzucony na spienione fale,
z pytaniem czy dotarł na miejsce,
czy rozbił się o rafy, skały?

DLA NIEJ

Popłyn z mną w suknię z mgieł otulona
-spójrz, już brzozie liście zardzewiały,
wtul się w moje bezpieczne ramiona,
na tej łajbie, co niejedno przetrwała.

Dookoła przedwieczorna dzwoni cisza,
las w woalu po mokradłach brodzi,
chcę byś była cała moja dzisiaj,
płynmy póki nie przecieka dno łodzi.

Bo gdy z ręki wiosło nam wypadnie,
zmysły nasze mniej będą gorące,
stara łajba całkiem się rozpadnie,
odpłyniemy gdzie czas nie ma końca...

LINIE ŻYCIA

Gdzieś tam za linią życia
Może jest taka pora roku,
Że plony ścielą się obficie,
Nie więdną kwiaty i nie ma mroku.

Może jest tylko czas słoneczny
Żywiczne lasy pachną miodem
Jest spokój, miłość i radość wieczna
Wspólne rozmowy nie wieją chłodem.

I chociaż marzy mi się kraina
Ukołysana ciszą, spokojem.
Gdzie śpiewem mógłby się dzień zaczynać,
To linia życia jest niepokojem.

POTRZEBA MIŁOŚCI

Miłość zamknięta w dłoni
opłatek trzymającej
przed mrozem cię ochroni,
jest potrzebna jak słońce.
Jak świeży powiew wiatru
z zapachem chleba, masła,
jak pastel wonnych kwiatów,
co życie ci rozjaśnia.
Potrzebna jak marzenie
o świecie z kina, z bajki,
spełnione w dzień grudniowy
w Wigilię, Mikołajki.

PAMIĘCI MOJEGO OJCA

Tato, to zgarbione plecy,
To żmudna praca rok po roku.
W ręce zegarek rozebrany,
I częsty widok z lupą w oku.

Tato, to dotyk szorstkiej dłoni
I marynarka pachnąca tytoniem.
Tato, to ramię, które cię osłoni,
A to jest moje wspomnienie po Nim.

PAMIĘCI CZESŁAWA NIEMENA

Już nie płonie stodoła,
pusto pod papugami.
Z góry głos Cię zawołał
unosząc z aniołami
Twą kruchą jesień życia
dopiero co zaczęta,
tańczącą z mimozami,
klamrą sukcesu spiętą.
Na pięciolinii czasu,
który płynie jak rzeka
nie ulegałeś modzie,
doceniałeś człowieka.
Malując barwne dźwięki
ożywiałeś wspomnienia.
Tworząc nowe piosenki
pomagałeś marzeniom.
I tylko smutek został,
a strata boli gniwnie.
Kiedyś w mniej dziwnym świecie
spotkamy Cię - to pewne.
w kolejnym pokoleniu
choć zmienia się dziewczęta,
odżyje stary przebój:
"Czy mnie jeszcze pamiętasz?"

Kiedy ANIOŁ ogłosi nowinę,
pierwsza gwiazdka na niebie zaświeci,
pod jemiolą rozdajmy całusy
w gronie matek, ojców i dzieci.

I podzielmy się dziś białym chlebem
życząc zdrowia, szczęścia, miłości,
niech przy stole z "pustym talerzem"
w ziąb grudniowy, maj ciepłem zagości.

Niech choinka ma złotą sukienkę
i nadziei kolor zielony,
cieszymy się szczęścia małym ziarenkiem
w korcu maku na dnie znalezionym.

Zaśpiewajmy kolędę cichutko
by nie zbudzić DZIECIĄTKA na sianie,
w tę szczególną zimową noc krótką
przebaczenie niech z nami zostanie.

w pustym pokoju
szyba moknie
w pustym pokoju
zimno otula
wstawię stół
zrobi się cieplej.

DLACZEGO?

Odwiedziła mnie wena
dając pióro do ręki
– wal śmiało – powiedziała
na papier swoje udręki.

Napisz o tym, co boli,
w spokoju żyć nie daje.
dlaczego tyle soli
miast lukru los rozdaje?

Dlaczego ludzie kłamią,
kiedy czegoś się boją?
Dlaczego reklamy mamia,
dom przestał być ostoją?

Dlaczego we wspólnym domu,
co się nazywa ojczyzna,
wlecze za nami się przeszłość,
odnawia ta sama blizna?

I dlaczego agresja wywołuje agresję?
Chamstwo, nietolerancja,
znieczulica są wszędzie?

Weno – zabierz to pióro
z tym czarnym atramentem.
Przyjdź, gdy będzie różowy,
a życie miłością, świętem.

Weno – ma przyjaciółko
– tak jej odpowiedziałam.
Co z tego, że przywalę,
nie zmienię świata sama.

Przyjdź kiedy ludzie ręce
na zgodę sobie podadzą,
a politycy szacunek
nawzajem sobie oddadzą.

Wtedy może napiszę,
że dobrze mi się żyje
w ojczyźnie patriotów,
gdzie nikt słowem nie bije.

TĘCZA PO BURZY

Po burzy tęcza niebo podparła,
Cicho zawisła milionem pryzmatów.
Bukiet pastelii ciepłych rozpostarła,
Syci widokiem z baśniowych światów.

Gdyby móc wspiąć się na jej wyżyny,
Móc zjeżdżać po łuku z góry.
Oglądać dawny świat z lat dziecinnych,
Rękoma dotykać chmury.

Zapomnieć o tym co ludzkość boli,
Na najpiękniejszym ze światów.
Terroryzm, wojny, głód i niedole,
Dni, lata pełne dramatów.

Gdyby na wszystko znaleźć receptę
I ulżyć ludzkiej niedoli.
Nie krzyczeć ciągle, lecz mówić szeptem,
Na przemoc już nie pozwolić.

MARIA „MARZENA” KOROL

Skromny las na Koskowej Górze
ma swoją głębię i swoje marzenie,
igły, szyszki, liście, burze i kałuże,
i swoje barwne, dzikie zapatrzenie.

Radosnym pąsem wiosną rześko cię obdarzy,
mrożonym cieniem swych zarośli latem schłodzi,
jesienią barwą i zapachem cię rozmarzy,
zimą śniegiem wypierze a mrozem oblodzi.

W każdej porze roku ujawnia tęsknoty, widoki
staniesz oniemiały, ucichniesz w zadumie.
Gdy wiatr wygładzi niebo, obłoki przesunie,
kiedy(gdy) wejdiesz na szczyt, zobaczysz.

JESIENIĄ

Las się zapala czerwonym płomieniem
swych przemarzniętych i dojrzałych liści
w jesiennym słońcu, dotkniętym zadumą,
zapachem dymu z pieczonych kartofli.

Las się jesienią nadziwić nie umie
blaskom bursztynu w słonecznych zakątkach,
gwarem w buczynie, olszy, leszczynie,
śpiewom w konarach i kłótniom na łąkach.

Dymy na łąkach i polanach leśnych
snują jesienią nuty tajemnicze.
Wszelkie stworzenia pragną się wyszumieć
wybrzmieć, wyrosnąć, wybarwić, wykrzyczeć.

Zima przygasi wszystkie ich kolory
wymaże cienie, zakończy flirciki i wygładzi bruzdy
Zmieni priorytet z barwy na paśniki
na norki, gawry, dziuple i sienniki.

Góry jesienią to góry spełnione,
które zrywają swoje kalendarze.
Rzeźbią porosty i kosodrzewinę,
rozpromieniają odwiedzane twarze.

Góry jesienią drzeźmią nasycone
barwą, zapachem, ciepłem swoich kształtów,
mocne jak ludzkie spracowane dłonie
wędrówką ludzi, zwierząt, ptasich rautów.

Góry się w słońcu jesiennym dźwigają,
prężą swe krzewy, czeszą swe igliwia,
na białe futro cierpliwie czekają
po którym miękko przejdzie zima siwa.

Babci Tosi

w każdej kropli deszczu
zamknięta jest
częstka mej radości
gdy Ciebie nie ma
prognoza mojej pogody:
długotrwałe opady
powiedz
co mogę zrobić
by nie zniknąć
z Twojego
horyzontu...?

Być sobą, Twoją wnuczką!

Tarnów 20 listopada 1984 r.

Moja Babcia była
zwykłym człowiekiem
choć dla mnie
osobą niezwykłą,
gdy zabrali jej dom i wywieźli ją daleko
dla dziecka
robiła co mogła,
gdy kazali jej być proramdzicką
wolała
siedzieć w więzieniu.
Uciekała
przez taki szmat ziemi,
by powrócić w końcu do Polski,
choć bez domu,
bez męża,
tu starała się być,
tu starała się żyć ...

a Ojczyzna jej „zapłaciła”
zabraną emeryturą,
zmniejszoną rentą po mężu
i kawalerką w suterenie
z oknem na podwórko,
złem, szykanami i nędzą

a los jej zapłacił
długą ciężką chorobą...

Tylko ludzie, którzy ją znali,
choć tyle lat minęło,
ciągle ją pamiętają,
uśmiechniętą „naszą panią”,
panią Tosię, panią Antoninę [Korolową z Majewskich].

Tarnów 29 sierpnia 2017 r.

ZBIGNIEW LESZCZYC MIROŚLAWSKI

* * *

Niedziela, za oknem nie widać ruchu samochodów.
Uszy otula cisza, nawet słońce śpi dłużej,
bo światło sączy się leniwie przez skłębione chmury.
Takie chwile sprzyjają rozmyślaniu.
Wędrujemy za horyzont, gdzie to co niewidzialne dla oczu
przebywa w krainie marzeń i ożywa w nas niespodziewanie
tęsknotą, wiarą w spotkanie,
nadzieją, że to co się stanie będzie spełnieniem,
podróżą pragnień do innych światów a nawet w zaświaty,
gdzie świt nie przerywa nocy
a zmierzch budzi konstelacje i mgławice (rozprasza zaćmienia)
i niby na karuzeli doznajemy obrotu planet,
i obracamy się dookoła osi Wszechświata!
On nie ma żadnych granic!
Przestrzenią wabi! Do nieśmiertelności woła!

* * *

Trudno schronić głowę
pod wachlarzami szeleszczących palmowych liści,
kiedy podmuchy sztormowego wiatru
podnoszą fale oceanu,
z hukiem uderzające o poszarpane skalne wybrzeże.
Takiej potężnej oprzeć się mogą
tylko twardzi jak szmuglerzy,
św. Petroc czy Francis Drake.
Korwalińczycy - ludzie kowadła i rogu,
nie lękający się magii,
pośpnych wrzosowisk Exmoor i Dartmoor.
Wolni, jak duch króla Arthura,
kruk-wrończyk uskrzydłony,
o połyskliwych piórach i czerwonym dziobie,
który sobie te miejsca upodobał.
Pośród nich artyści:
Nicholson, Leach, Shoji i Gabo.

Szukający tutaj natchnienia dla nowych form,
obrazów, ceramiki i rzeźb.
Koili huragany szalejące w ich duszach i głowach
na rozświetlonych plażach St' Ives.
Ulegali pokusie wina, smażonych ryb,
małży, krabów i warzyw.
To stąd dzisiejsza pełna energii,
niezwykła atmosfera i pożar,
co strawił dom Barbary Hepworth i ją samą.

W WESTMINSTERSKIM OPACTWIE (W WESTMINSTER ABBEY)

Wchodząc do nawy głównej Opactwa Westminsteru
witają nas filary i ostrołuków szereg.
Sklepienie jakbyś żagle rozpostarł ponad głową
a odbłask żyrandoli w posadzkach wzrokiem łowisz.
I napotykasz maki, krwią przesiąknięte maki!
Pośród nich upadł żołnierz – nie wrócił do Itaki.
To na tej Wielkiej Wojnie w okopach „śmierć zobaczył”
poeta Wilfred Owen? – Śmierci Wiatr - poczuł raczej.
To tu w Zakątku leżą mistrzów nagrobne płyty:
Byron'a, Henry James'a, Lawrence'a,
- znakomitych autorów-laureatów:
Eliot'a, Graves'a, Read'a, Jonson'a i Chaucer'a.
Niczym pielgrzymi orszak do progów Canterbury.
To współczesna opowieść, stalli, sztandarów mowa,
choć królewska katedra, jej dzieje pisze Człowiek.
Artyści i uczeni w tutejszych naw przestrzeni
to wzniosli przewodnicy. Czas się tutaj nie liczy!
Sekret skrywa się w słowach,
za szeptem swe kroki prowadź.

* * *

Rodzinne pamiątki:
Virtuti Militari,
wisząca na ścianie karabela,

książeczka zdrowia
i książeczka oszczędnościowa
wydobyta z katyńskiego dołu,

fotografie,
kosmyki włosów,
ulotne wspomnienia
i zapomniane piosenki,

świadczenia naszych bliskich,
świadczenia obcych osób,

gabloty pełne protez
w Muzeum w Auschwitz,

wyschnięta studnia.
To wszystko są ŹRÓDŁA

AMELIA ROMANOWSKA
(lat 11)

CZYM JEST ŻYCIE?

Czym jest ŻYCIE, czy to skrawek papieru, po którym stąpamy?
Czym jest ŻYCIE, czy to obłok naszych dziecięcych snów?
Czym jest ŻYCIE, czy to morze wielu przeszkód?
Czym jest ŻYCIE, a może Ty to wiesz?

DARIUSZ ROMANOWSKI

TUTAJ WYSTARCZY

A u mnie na półce
Niczym na torcie wisienka
Szyborska
Pomiędzy Mną
A Świetlickim
Wystarczy tutaj spojrzeć
Jeden po lewej drugi
Po Jej prawej stronie
Czynny do odwołania
Pieśni profana roi
Gdy Ja – Nie Ja
Cokoły moich wzruszeń
Wznosi i uświęca
By ujrzyć w oddali
Bezdroża czasu
I Tę już stąd odwołaną
Bez ziemskiego adresu
I nieczynną tutaj
A wciąż obecną
Nie tylko pomiędzy
Niektórzy lubią poezję...

MIROSŁAW „ERIC” SUŁKOWSKI

MYSZOŁÓW

Siedzę.
Nieruchomy jak posąg.
Jakby obojętny na wszystko dookoła.
Jestem częścią krajobrazu.
Permanentnym elementem całości.
No chodź. Wychyl się. Nic Ci nie grozi.
Parę kroków. Jeszcze kilka.
Tak. Już prawie.
Siedzę.
Napięty jak cięciwa łuku.
Skupiony na swojej misji.
Szacuję odległość.
Zaraz poderwę się do lotu.
Błyskawicznie.
Jak pocisk. Kamień wystrzelony z procy.
To nie są zakupy w markecie.
Walka o Crocs'y lub karpia.
Stawką jest życie.
Moje i mego potomstwa.
Dlatego siedzę.
Jeszcze przez trzy, dwa, jeden.
Już!

BAŃKI MYDLANE

Lecą bańki mydlane,
w słońcu się mieniać
wirują wesoło.
Unoszą się ku niebu
wypełnione radością,
poczuciem spełnienia.
W końcu przez chwilę
stanowią dla kogoś
centrum wszechświata.
Potem pękają bez lęku,
zostawiając po sobie mokre plamki
i bezcenny uśmiech dziecka.
Lecą bańki mydlane.

MGŁA

Wrześniowy poranek.
Subtelnym dotykiem,
mgła ziemię otula
jak dziecko kocykiem,
Czym nas dziś zaskoczy?
Blaskiem rosy pereł?
Czy złowrogim ostrzem
rozbitych butelek?
Jesienna loteria.
Jajko niespodzianka,
niepewność, nadzieja,
wrześniowego ranka.

WITHKACY ZABORNIAK

powroty

Z. Mirosławskiemu

zmuszany na wygnanie każdego dnia emigruję
w poszukiwaniu miejsca na dom o podłożu skalnym
równemu królewskiej wyspie bursztynów
w błękitno zielonej zatoce wiatru

spokojnie usypiam plaże opowieściami ginących mitów
wpatrując się w horyzont zatracam się w spektaklu
ptaków niecierpliwie szukających gniazda
gdzie w roli głównej ciemność klęka przed światłem na dnie
mojej opowieści bogowie spalają w kadzidle rozżaloną tęsknotę

w kolorze purpury słońce przenika wody jońskie
niczym ciepłe ramiona Ojca wciąż wyciągnięte
na znak potrzeby odbudowania więzi
gdzie mógłbym powrócić skruszony urokiem dzieła

upewniać się o miłości fal tulących podstępnie pochłoniętą ofiarę
jak gdyby śmierć nie miała już znaczenia
mocy –

wyczekuję w ucieczkach białych żagli ku dalekim wyspom
po morzu które nas dzieli

zostałem sam

z niebieskim miłosierdziem ostatniej chwili
w twoich źrenicach
błękitno zielonego oceanu
zgaszonych oczu
które zrodziły mnie
niosąc na skrzydłach jasność
i mrok równocześnie
szepotaś w ciężkim oddechu –

kto kocha nigdy nie odchodzi
nawet jeśli nie powrócisz
będę czekał
i niech bym stał się popiołem
w ogniu żarliwej miłości
zbuduję naszą przystań
w głębi serca
zostałem sam z ciemno niebieskimi
żaglówkami na obcych wodach
niczym pożegnanie w twoim spojrzeniu
matko

biegną we mnie samotne szlaki

tak tęskno i wciąż nie po drodze
zielonej melancholii przez wytarte trakty
mętnych obietnic

i nie po drodze odczytując mistyczne mapy
wiary w dziewicze góry - bezdroża
rzeczy spodziewanych i realnych
choć niewidzialnych

tak tęskno ku dzikim polanom
gdzie wokół domu wilcze jamy i żmije
śpiewają hosanna na wysokościach pokój
ludziom dobrej woli

wiatr kładzie się w trawie pokotem -
i nic nie przypomina chłodu śmierci
bezludnych wysp sterczących samotnie
pośród błękitnej przestrzeni

nie odbija echem głos spadających
na samo dno

przewodniku niedościgniony
przytwierdź do ścieżki stopy kruche z gliny
wzdłuż świerków ulotne wrażenie światła utrzymaj
w kaganku rozżalonych dni
dymiący komin wszystkim łaknącym chleba

impas

uleciał ze mnie błękit
zbyt doskonały by
rozkochać się w ptakach
o węgielnych skrzydłach
które próbują budować
gniazda w moich oczach
przeplatając krwawą łuną
wiotkie gałązki

przy każdej z dróg
zamiast słoneczników
wyznaczających kierunek
światła
coraz więcej ołowiu
nad głową
i krótsze podróże
zdają się już nie mieć nic
wspólnego

z utkwionym uporczywie
spojrzeniem
czasem uścieli w
bezbolesne dni
szybko przemykający
biały obłok
jak gdyby chciał
przypomnieć
że wszystko zaczyna się
w prześwitach

PROZA / RECENZJE

Motto

O J. P. Sartre

„...Popijając bawarkę, wykladał kałamarz i pióro i pisał później pilnie przez cztery godziny.
„Mała kula puchu i atramentu” - powiedziała o nim Simone de Beauvoir”.

Paul Johnson, *Intelektualiści*.

ZBIGNIEW LESZCZYC MIROSLAWSKI

BROCZKOWSCY – DZIEJE DZIEWIĘCIU POKOLEŃ. WALECZNI, KOMINIARZE, EMISARIUSZE W OBRONIE HONORU I NIEPODLEGŁOŚCI POLSKI

Młodość Józefa i Konstantego, pierwsze doświadczenia

Kiedy Konstanty dorastał już tylko wspomniano Konstytucję 3 Maja. Starsi jeśli sami nie walczyli w 1792 czy 1794 roku, osobiście znali żołnierzy z tamtych lat. Wskrzeszali przeszłość w sposób naturalny i bezpośredni. On przez całe swoje życie myślał o wolnej Polsce. W dzieciństwie poznawał dumną przeszłość ojczyzny głównie dzięki matce. To jej krewni walczyli w oddziałach konfederatów barskich.

Kostek i jego starszy brat Józio ur. w 1780 roku (zatem już świadomy utraty państwowości polskiej w okresie swego dorostania) chłonęli każde słowo o dumnej historii. Powstawał niepowtarzalny klimat. Z jednej strony relacji o codzienności i bohaterstwie, z drugiej nieprzenikalnej nieomalże tajemnicy. A był to temat tak rozmów domowych jak i z zafanymi gośćmi z sąsiedztwa. Temat oficjalnie jednak zakazany a przez to tak pociągający.

Uwielbiali wieczorne „herbatki”, kiedy w salonie zasiadano do stołu. Jeśli gości było więcej zasiadano też na kanapach. Pojawiały się różne tematy aż ktoś z najstarszych dawał się przekonać do gawędy. Kiedy mówili mężczyźni, często w ich słowach można było usłyszeć: brzęk szabli, głos bojowej trąbki, tętent końskich kopyt. Niekiedy jednak

odzywało się echo chwil prawie zwykłych: biwaku, przeprawy przez rzekę, nocnej straży. Wydawać się mogło, że zda się słyszeć: trzask palonych bierwion, chlupot zmaconej w rzece wody, kukanie zazuli, śpiewy kosów, wilgi albo zięby, stukanie dzięcioła, pohukiwanie sowy. Zapach lasu przywoływała także woń drewna spalanego w kominku. Od czasu do czasu strzelały iskry a wtedy narracja się urywała. Dzieci nadstawiały uszy. Czy to nie Moskale?

Kobiety grały na pianinie, śpiewały. Mówiły o strojach, biżuterii, weselach i pogrzebach. O kazaniu księdza dobrodzieja podczas niedzielnego nabożeństwa. Wspominały ojców bernardynów: Arnolda i Jakóba Broczkowskich, cystersa Gerarda Broczkowskiego z Sulejowa.

O lwowskiej, bernardyńskiej świątyni rozprawiły z nabożeństwem wspominając relikwie: bł. Jana z Dukli, św. Stefana króla węgierskiego, prawej ręki w srebrnej skrzyneczce zawartej. Zgrozę budziło, że władze austriackie pozamieniały kościoły: św. Agnieszki na magazyn i piekarnię wojskową, kościół i klasztor karmelitanek bosych na przedmieściu brodzkim na skład mundurów. W kościele i klasztorze Misjonarzy założono koszary, u teatynów ulokowano artylerię a w kościele pijarów powstał szpital miejski, u brygidek więzienie kryminalne. Naurągawszy zaborcom za te wszystkie bezecności, panie wołały na dzieci, aby te przyszły bliżej i wyrecytowały jakiś pacierz lub wiersz albo zaprezentowały swoje nowe ubranka.

Bez skrzępowania można jednak było bawić się tylko wówczas, gdy nie było gości. Motywem do zabawy bywały sceny przedstawione na obrazach wiszących na ścianach. Był to między innymi: widok starodawnego boru, tabunu koni nieznanego artysty, był Tadeusz Kościuszko wraz z podpisem „*Pozwól jeszcze raz bić się za Ojczyznę*” Jana Nikodema Łopacińskiego.

Józio i Kostek „wsiadali na rumaki” i galopowali na wyścigi. W podskokach po drodze pełnej wybojów i zakrętów. Wiła się ona obok stołu, fotela czy biblioteki. Czasem prowadziła aż na podjazd przed ganikiem i na podwórzec.

Kryli się bawiąc w chowanego. Czasem odesłani „do siebie” wędrowali po przejściu amfilady salonu i pokoiów położonych dalej, skręcając w ostatnim z nich do nieco ciemnej sieni i przez nią przechodząc do północnej części domu. Tam mieściły się: alkowa rodziców, przebiegarnia i sypialnie dla dzieci i służby. Tutaj mogli czuć się swobodniej.

Pokoje gościnne były w alkierzach. Hałas dzieci tam nie dochodził. Za to okna wychodziły na południową stronę, obejmując jak ramionami położony centralnie ganek i tympanon wsparty na dwóch kolum-

nach, na gościniec przed domem. W oddali można było dostrzec dość szeroką aleję lipową, którą zajeżdżano z wizytą. Staropolska gościnność nakazywała, konie wypręgać i „koła z powozu zdejmować!”, żeby utrudnić szybki odjazd przybyłych. Powiedzenie to przetrwało wiele lat i powtarzano je z radością.

Gdy matka zostawała z dziećmi sama, Kostek siadał z Józkiem u jej stóp na dywanie a ona zaczynała snuć opowieści bajeczne, historyczne. Brzmiały zatem i słowa pieśni:

*Warszawianka dla kochanka / Szła białą chorągiewkę.
To płakała, to wdychała, / śląc modły do Boga.
Warszawiaczek zrzucił fraczek: / Przeciw cara jest czamara,
Kulka w rurkę, proch w panewkę...”*

albo inne

*„Dalej, bracia, do bułata, / wszak nam dzisiaj tylko żyć,
Pokażemy, że Sarmata / umie jeszcze wolnym być!
Długo spała Polska święta, / długo Biały Orzeł spał,
lecz się ocknął i pamięta, / że on kiedyś wolność miał...”*

Nogi same podrygiwały, ręka wyciągała się po wymyśloną szabelkę. I jak „*Krakowiaczek jeden...*”, który miał koników siedem, malcy biegali wokół stołu, podskakując, wymachując rękami przeciw Moskalom w rytm melodii „*Dalej, bracia, do bułata...*”. Były to chwile beztroskie a zapadające w pamięć i kształtujące charakter.

Nie było ważne, że matka czasem nieco ubarwiała relację, nie pamiętała wszystkich dat. Tworzyła rodzinną legendę. Słowa wypowiedane łagodnym głosem wiodły w pradawne puszcze i ostępy. Sprawiały, że można było poczuć się uczestnikiem kuligu, wesołego ogniska. Kiedy indziej zaś przekradającym się od wioski do wioski kurierem niosącym rozkazy, zwiadowcą albo strzelcem.

Dorastający chłopcy z wypiekami słuchali jej opowieści o Polsce i jej obecnym, smutnym położeniu. O bohaterskim Tadeuszu Kościuszcze i o księżnej Czartoryskiej, pani na Puławach, gromadzącej narodowe pamiątki. O dzielnym szewcu Kilińskim, stającym w obronie Warszawy.

Za salonem znajdował się pokój myśliwski z zawieszoną na ścianie rosochą łosia, z łopatami i pasynkami. Na wełnianym kilimie o wielobarwnym, geometrycznym wzorze wisiała stara karabela, srebrny ryneczek z Matką Boską. W szuflach pod ścianami złożone były odświętne sajety, kontusz i delia, złotolity pas, stroje z bławatnego sukna, koszule. Staropolska moda coraz bardziej odchodziła w przeszłość.

Okolo 1800 roku modny stał się angielski strój do konnej jazdy. Ubiór męski składał się z fraka (zawsze ciemniejszego od reszty ubrania) z kołnierzem o szerokich klapach, podciętego z przodu w kształcie odwróconej litery U, tak, żeby widoczny był dół jasnej kamizelki. Spodnie były jasne, obcisłe do kolan albo noszono też tzw. pantaloney do połowy łydki. Buty musiały być wysokie z cholewami. Z cielejącej lub jagnięcej skóry to jest z kurdybanu, te droższe safianowe, zawsze jednak barwione na czerwono lub żółto. Nie darmo przecież mawiano „znać pana po cholewach”. Noszono też wygodne surduty. Szyję opasano wzorzystą chustką. Ojciec zwłaszcza w chłodniejsze dni nosił płaszcz z szerokim pelerynowatym kołnierzem.

Zakup odpowiedniej odzieży w Jaworowie lub okolicy nie był łatwy. Trzeba było raczej kupić wiedeński lub lwowski magazyn i zlecić szycie u żydowskiego krawca. Cylinder należało kupić we Lwowie. Ojciec jeździł tam, żeby zreperować stary zegar, do rusznikarza czy introligatora, ratować rozsypujące się druki, oprawiać domowe sylwa rerum. Zawierały one: genealogiczne wywody, opisy sejmików i poruszanych na nich materii, przepisy kulinarne, facecje i wiersze. Wybór zakładów rzemieślniczych był niewielki. We Lwowie w tamtych czasach było tylko 2 mechaników, 1 parasolnik, 4 rusznikarzy naprawiających wielolufowe „pieprzniczki” lub kapiszony, 9 introligatorów, 3 złotników, 13 kapeluszników i cyrulików, 17 szklarzy. Działały też fabryka pojazdów, karet i koczów oraz 4 fabryki wódek, likierów i rossolisów. Ojciec przywoził czasem niektóre wyroby Baczelesa-Baczewskiego.

W domowym gabinecie stał stolik z karafką i szklaneczkami na trunki. Stało duże, dębowe biurko, na nim lichtarz, kałamarz, zaostrome gęsie pióra (bardziej chyba dla fantazji niż do użytku). Do pisania służyły bowiem drewniane obsadki i ostre stalówki. Leżał też tam lak, bibuły, lupa i binokle. Czasem zostawała na nim jakaś książka z zakładką założoną w miejscu w którym została przerwana jej lektura. Pod ścianą był jeszcze specjalny sekretarzyk z otwieranym blatem wyłożonym zielonym filcem. W położonych niżej szufladach przechowywane były ważne dokumenty, metryki i rachunki. Wychodząc z gabinetu ojciec opowiadał czasem o tym o czym przeczytał w listach od rodziny, przyjaciół i znajomych. Te pieczętowane czerwonym lakiem kawałki dość grubego czerpanego papieru pisane były pięknym kaligraficznym pismem i stanowiły o łączności z bliskimi, wędrującymi gdzieś po szerokim świecie. Wieści te, odczytywane wspólnie w salonie. Sprzyjały marzeniom o podróżach i odległych miejscach, takich jak: Stanisławów, Lwów, Lublin, Kraków czy Wiedeń.

Kostek wyobrażał sobie takie dalekie wędrówki. Zapowiadał, że kiedyś pojedzie daleko, nawet za granice Austrii. Szumiało w młodej głowie tak jak szumiały liście na tęgich konarach rosnącego przed domem jawora. Drzewo było dość stare. Nikt nie pamiętał od kiedy rośnie. Potężniało i dawało coraz szerszy i dłuższy cień. W gorące dni siadało się pod jego koroną. Cieszył lekki, chłodzący powiew wiatru. Słychać było ptasie trele, świsty i grzechotania szpaków, naśladujących niekiedy odgłosy ludzkiej rozmowy, pogwizdywania rudzików, drożdów, kosów, szczygłów lub dudków. Cała ta barwnopióra rzesza przypominała chłopcu figurki ołowianych żołnierzyków. Odgłosy jej koncertów brzmiały jak alarmowa trąbka, sygnały do wykonywania zwrotów, załamywania skrzydeł i formowania bojowych szyków. Niekiedy chmara wróbli fruwała nad samą głową i odruchowo chował ją w ramiona.

Wiosną w zagajnikach odurzały zapachy krzewów: forsycji złocistej i zielonej, magnolii, białej i żółtej katalpy. Odłamane, kwitnące gałęzie wstawione do wazonów zdobiły pokoje i werandę.

Do lasu było niedaleko, a tam to już rosło całe zielone królestwo: lasy sosnowe, jaworzyny, buczyny, dąbrowy i brzeziny, graby, klony, wierzy i osiki. Chłopcy uczyli się rozpoznawać ich rodzaje i gatunki: bukowate i klonowate, wiązowate i lipowate. Rwali z dzikich, samo rozsianych drzew owocowych: śliwy, morwy, orzechy, czereśnie i pigwy. Zabawy na skraju lasu zawsze były wspaniałe. Można było najeść się jagód. Rosły: jeżyny i żurawiny, maliny i borówki, porzeczki i brusznice. Las a zwłaszcza jego ostępy i panujący w nich półmrok wywoływały również dreszcz obawy.

Na polanach widywali: zajęce i sarny. W głębokim borze nie brak było dzikiego zwierza: borsuków, lisów, dzików, rysi i wilków. To ostatnie zaszyte w gęstzynie, niekiedy wieczorami lub w zimie wychodziły na polany, pozostawiając ślady na śniegu albo w miękkim gruncie. Widząc dowody ich realnej obecności, nie tylko w bajce „O Czerwonym Kapturku”, Kostek i Józio spoglądali na siebie niepewnie. Oglądali przecież zakrwawione wilcze zęby sztuk zastrzelonych podczas łowów. Nad polami fruwały kuropatwy i pięknie ubarwione bażanty. Pióra tych ostatnich stanowiły przedmiot pożądania nie jednej damy, zdobiącej nimi swoje oryginalne kapelusze.

W dolinie Wereszczy ojciec polował na przelatujące kaczki. Posiadał jednostrzałową fuzję. Całe stada ptactwa pływającego po jeziorach i stawach pod wieczór kryły się w szuwarach. Kostek nigdy nie dostawiał broni do ręki, uczył się łowić: karasie i karpie. Jeśli zachowywał się odpowiednio cicho udawało mu się nie spłoszyć towarzystwa żurawi lub czapli. Nieraz wysoko na niebie przelatywał myszołów lub sokół.

Na widok tych drapieżników małe ptaszki kryły się w pobliskich krzewach i zaroślach. Gdy niebezpieczeństwo mijało czyniły ruch wśród leśnych jagód. Z pigwy, ale też z malin, i borówek powstawały pyszne konfitury i soki. Matka miała pomocnice kuchenne, Zuzię i Jankę, którym kazała przyrządzać te wspaniałości, stanowiące wielkie urozmaicenie śniadaniowego stołu. Kostek nie jeden słoik pełen tych przysmaków dopadł w spiżarni i wylizał do spodu. Czasem zdradzały go kąciki ust lub broda na której pozostały dowody łakomstwa.

Kiedy ciemna kropla dżemu spadła na obrus, matka tłumaczyła synom skąd się wzięło ich nazwisko i dlaczego mają być z niego dumni. Broczkowscy, bo przodkowie broczyli krwią za wolność Ojczyzny.

Ojciec wspominał o jednym z Broczkowskich, Piotrze, pełniącym funkcję na dworze Jego Księżęcej Mości Pana Aleksandra na Koniecpolu Koniecpolskiego, wojewody sandomierskiego, dzierżącego liczne starostwa m. in.: perejesławskie, korsuńskie, kaniowskie i dolińskie. Prócz przekazów rodzinnych zachowały się wspomnienia jego współtowarzyszy, Ich Mości Panów: Pawła Gadomskiego, Krzysztofa Gostawskiego, ks. Walentego Odymalskiego.

Ostatni z pomienionych powoływał się na Broczkowskiego jako na inspiratora uwiecznienia po śmierci księcia jego dokonań w mowie związanej. Pisał bowiem *„odważne bohatyrskie sprawy, dla całości ojczyzny podjęte prace i fatygi, wiekuiście będą słynąć, ...po którym żalosna Korona Polska, wojennymi rozterkami przez wiele lat utrapiona, długo tęsknić będzie, którego mądrych kronikarzów, wymownych krasomowców, uczonych wierszopisów pióra i języki sławić, i chwalebnie wspominać będą. Takiej albowiem są zacności i dostojności... Do czego mi dodali ochoty urodzeni Ich Moście Panowie, dawni i wierni, jako świętej pamięci zmarłego rodzica, tak i Waszej Księżęcej Mości dworzanie i domowi...”*. Pisał te słowa ks. Odymalski w Secyminie, 4 Listopada, roku pańskiego 1659. Fragment tejże kamienicy cytowano w domu przy różnych okazjach:

„Tu leży Koniecpolski, leży i buława, / Ale nie leży Jego nieśmiertelna sława.

Ta umierać nie umie, owszem kwitnie wszędzie, / I pokąd Polska Polską, kwitnąć zawsze będzie...”

Pamiętano w sąsiedztwie, że z Koniecpolskim bywał Broczkowski pod Ochmatowem (1644). Bił się z Tatarami, pokazał tak jak książę, „...że nie tylko śmierci się nie lękał, ale jej owszem szukał dla sławy i miłości ojczyzny... sercem stawiał przeciwko Tatarom zamyślającym do Polski wtargnąć... A gdy się kozacka wojna otworzyła, z Chmielnickim się potykał... Z tem wszystkim pod Tomaszpołem i Konstantynowem zemścił się zguby swoich nad rozpustnem chłopstwem. Był pod Piławcami i pod Zbarażem...”

Ojciec dzieciom wspominał o nim, że w marcu 1650 roku do kanclerza wielkiego koronnego Jerzego Ossolińskiego był posłany z listem w którym książę pisał „...krwawych zasług moich dosyć... muszę za progi ojczyste do obcych krajów... szerzej Wm Miłościwemu Mości Panu Pan Piotr Broczkowski sługa mój przeloży, na którego całe referując abyś mu wolne ucho i niewątpliwą wiarę dawszy, paterne w mojej intencji stać mi się raczył, uniżenie Wm MM Pana proszę... W Koniecpolu, 23 marca...”.

Dla chłopców słowa z listów nie do końca były zrozumiałe, tyle jednak pojmowali iż ich dom zaszczycony jest służbą dla kraju.

Bo i w beresteckiej okazji, Broczkowski jak książę pierwszy skoczył do potrzeby, tak jak i on ostatni zszedł z tryumfem z pola, ścigając nieprzyjaciela aż za Styr. „...W żwanieckiej potrzebie dosyć serce mężne pokazał i lubo księciu Kozacy obszerne jego włości około Dniepru posiadłszy odebrali, przecież liczne chorągwie przeciwko nieprzyjacielowi zawsze stawiał...” a wiernie mu towarzyszyli: Gadomski i Broczkowski.

Książę Koniecpolski podczas „Potopu” „...widząc zdradliwe na Polskę szwedzkie machinacje, wojsko swoje do Jana Kazimierza króla odprowadził, i już też z pola nie schodził, rzadki gość w domu, pod Warszawą, Malborkiem, Toruniem, nachylone ojczyzny szczęście dźwigając, pospolicie w równym z innymi prostymi żołnierzami do boju idąc...”.

Pol-sce się zasłużył tak książę jak i jego kompania.

Sam ks. Odymalski wydymał niekiedy wargi i policzki z grymasem niezadowolenia, kiedy nie ufając w jego przechwałki dotyczące bojowych wyczynów, cytowano mu fragment wiersza pijący ni to do jego tuszy zaznaczonej obcisłą sutanną, ni to do nazwiska:

*„...I te mi też babuchny, niech tak jak chcą skaczą
Bowiem wszystko na młodszych od zazdrości gdczą;
Zazdroszczą im urody, zazdroszczą piękności,
Nawet im i lat zajrzą i skąpej młodości,
I pod czas taką znajdzie, co już zębów niema
A przecię ona szczękę zmartwiałą odyma,
Choć już będzie lat najmniej z osiemdziesiąt miała
I choć jej chuda starość ciała poorala,
A przecię wódki białe, olejki, rumidla,
Spikonardy, perfumy i weneckie mydła,
Najdziesz u niej niemało, któremi się myje,
Zmarszczki z czoła rozmyka a wineczko pije.
Polewkę z niego czyni, kruszy w nie chleb biały
Bo by zgola twardszemu zęby niezdołały...”*

Tak tedy też naburmuszony, jakoby ona babuchna, zawijał brzeg księżowski tej i rejterował z pola tak nieprzystojnych towarzyszy.

Opowiadanie matki o wyprawie pradziada przeciwko tatarskim czambułom

Nie tylko Broczkowsy broczyli krwią. Tej krwi prawdziwej - nie jagodowej, wiele popłynęło. Zwłaszcza w 1672 roku. W sierpniu Turcy zajęli twierdzę w Kamieńcu Podolskim. Płonęło wówczas wiele wiosek i osad. Tysiące ludzi uprowadzono w jasyr. Wszystkim szło o ich uwolnienie. We wrześniu Tatarzy wspomagani przez kozaków oblegli nawet Lwów. Najazd objął okolice: Jaworowa, Lubaczowa, Tarnobrodu aż do Biłgoraja. Spustoszone tereny na prawym brzegu dolnego Sanu, Roztocze i południową Lubelszczyznę. Przybyły do Krasnegostawu hetman Sobieski pisał do króla Wiśniowieckiego: „Obaczyliśmy od Narola po sam Przemyśl gorejące ognie”, widoczne dobrze z roztoczańskich wzgórz. Obecność Tatarów na terenie Nadsania potwierdzały rozesłane podjazdy i zeznania jeńców. Jaworów się obronił ale sąsiednią Żółkiew zajęto.

Mama opowiadała, że spłonął kościół w Jazowie Starym pod Jaworowem, cerkiew w Nowym Lublińcu. Mordowano ludzi, podpalano domy. Wszystkich opanovało poczucie zagrożenia, także mieszkańców Jaworowa. Zwłaszcza, kiedy mężczyźni wyruszyli do boju a kobiety i dzieci pozostały na łasce wiernej służby. Niejedna białogłowa przeszła wówczas szkolenie obsługi pistoletu skałkowego, żeby skrzęsana iskra zapaliła proch na panewce. Była to jednak broń niepewna lecz do szabli panie się nie brały. Chyba komendantowa Trembowli, Anna Dorota Chrzanowska.

I ze strony rodziny matki jej pradziad z Jaworowa, wyruszył z Sobieskim. Pochód wojsk rozpoczął się od położonego nad rzeką Wieprz, Krasnegostawu. Mimo panujących przymrozków, deszczu i błota, chorągwie i dragoni ruszyli komunikiem: na Zamość, Narol, Niemirów. Dookoła grasowały wraże podjazdy. Rabowały co popadło.

Wybierając się na tą wyprawę nasz przodek zdawał sobie sprawę z tego, że walka będzie zacięta. Ważnym było wyprzedzać ruchy ordynców. „Zdobywać języka” i dzięki temu uzyskiwać informacje o planowanych kierunkach ataku. W pościgu i w odsiecz, Sobieskiemu i jego podkomendnym szczęście sprzyjało i pod Krasnogradem, i pod Komarnem. Wyprawa była jednak szalenie wyczerpująca. Kilkuset kilometrowy marsz trwał 10 dni. Rozpoczął się codziennie o wczesnej porze a nie raz od północy. Kończył dopiero po zachodzie słońca. Ubezpieczano boki przez podjazdy i wysunięte do przodu strażę. Jeśli się powiodło i jak po

bitwie pod Beńkową Wisznią uwolniono 20 tysięcy jasyru nagrodą były łzy radości uwolnionych dzieci i niewiast.

Pradziad własnoręcznie ocierał mokre, umorusane twarze. Tulił wystraszone dzieciaki, sadzał je na przysłane z pobliskiej wsi wymoszczone słomą wozy. Dzielił się porcjami chleba. Opowieści z tamtych czasów były nie do zapomnienia i przetrwały przez ponad 120 lat. Uzupełniły je dzienniki i opublikowane wspomnienia ich uczestników. Między innymi „Krótka historia o Kobiecie z więzienia Tatarów przybyłej” opowiadająca losy Marii Dubniewiczowej czy *„Dziennik pogromu Tatarów od Krasnobrodu do Kałuszy”* stojące na półce w bibliotece. Stąd pewnie i wielość informacji, i emocje matczynej relacji.

Nasza kawaleria pod Łazińskim, Zbrożkiem i Pruszkowskim dokonywała cudów. Wszędzie, gdzie w niebo wystrzeliwały płomienie, skąd snuły się dymy pożarów, z pomocą docierały nasze zagony. Łuny ognia ogarnęły znaczny obszar Rzeczypospolitej: od Sambora, Turki, Leska, Sanoka i Biecza po Pilzno, Jarosław, Biłgoraj i Hrubieszów, i dalej do Doliny, Rożniatowa, Petranki.

Poległo bardzo wielu. Także tych, którzy wyruszyli z Jaworowa i ościennych zaścianków. Starty osiągały blisko 50 procent! Smutne to były i prędkie pogrzeby. Ciała trzeba było chować w mogiłach zaznaczanych brzoźowym krzyżem. Miał szczęście ten, kto tylko został raniony. Rany od strzał tatarskich goiły się długo.

Pod Petranką pradziad został ranny w ramię. Mimo, że rana zagoiła się wreszcie po sporym czasie, ręka na długo pozostała niesprawna. Poszarpany mięsień rwał przy deszczowych pluchach. Z tego bólu i cierpienia „przyszedł” w XI wieku na Skotnickich od króla Bolesława Śmiałego herb Bogoria nadany - *„Dwie złamane białe strzały, w polu czerwonym, takim kształtem że żeleźce, jednej ku górze, drugiej ku ziemi obrócone; na hełmie paw, z ogonem rozciągnionym, w prawą stronę tarczy pyskiem skierowany, w którym strzałę złamaną także z żeleźcem do góry skręconym trzyma.”*. Tak potwierdzali go późniejsi herbowi tegoż rodu heraldycznego: Wołowicze, Jaroccy czy Mokronowscy. Znak to starożytny, a choć dziedziczny po kądzieli ciągle na nowo potwierdzany przez liczne rody: Broczkowskich, Braczkowskich, Skotnickich czy Wołowiczów - własną krwią. Skąd się wzięła oboczna forma nazwiska Braczkowski a nawet Bruczkowski trudno dochodzić. Może to tylko efekt niewyraźnego pisma lub pomyłki plebana. Matka wyraźnie była zadowolona, że nazwisko antenatów jej męża było podobne do występujących w spisie herbowych Bogoriów.

W Jaworowie

Latem Broczkowsky całą rodziną jeździli dwukonną bryczką do dziadków do położonego nieopodal Jaworowa nad Szklę. Ciągnęły: Siwek i Kasztanek. Były to konie rasy małopolskiej, odmiany lubelskiej, nie araby ale krzyżowane od XVII wieku miały domieszkę tzw. gorącej krwi. Hodowla koni była polską tradycją. Konstanty i Józef rozmawiali z ojcem o koniu księcia Romana Sanguszki. Podziwiali jego wierzchowca, ogiera Perłowego. Braniccy koło Białej Cerkwi, Rzewuski w Sławucie, Dzieduszyccy w Jarczowcach zakładali stadniny. I chociaż ich rumaki były o wiele wspanialsze, przecież koniki: Siwek i Kasztanek władały sercami chłopców niepodzielnie. Zawsze łupali okruchy z głowy cukru, aby je wynieść do stajni. Czyścili końskie boki i głaskali grzywy, przemawiali do wielkich, mądrych oczu patrzących na nich z pochyłanych z zadowolenia łbów. Konie rozpoznawały młodych dziedziców już z daleka i zawsze z lekka rżały radośnie. Niekiedy ojciec powożąc do Jaworowa sadzał któregoś z nich obok siebie na koźle, pozwalał trzymać lejce.

Jaworów to małe miasteczko z XIV wiecznym zamkiem. Było ważnym ośrodkiem handlowym na trasie Lwów - Jarosław. Można było przebiec tych kilka jego głównych ulic w niedługim czasie. Poznać miasto z krańca do krańca. Oryginalna była nazwa rzeki - Szkoło, taka sama osady pod Jaworowem. Z wód Szkoły powstał Jaworowski Staw. Był źródłem bogactwa, bo dostarczał ryby. Głównie jednak na sprzedaż na potrzeby innych miast. W Jaworowie trudno było je kupić ale można je było oglądać i karmić chlebem. Wówczas podpływały blisko do powierzchni wody i pyszczkami połykały rzucane im okruchy. Zatrzymywali się czasem nad rzeką, gdzie obok brodu, konie mogły pić i schłodzić rozgrzane nogi i boki. Niekiedy nawet je wyprzęgano, aby mogły wejść nieco głębiej w rozświetlony słonecznymi odbłaskami promieni nurt. Chłopcy brykali przy brzegu, ochlapując się nawzajem, zmęczeni siadali na trawie obserwując nisko latające pliszki lub jaskółki.

Kostek wiedział, z opowiadań dziadka, że w tych okolicach często bywał Jan III Sobieski. W Szkołe z Marysieńką zażywał kąpeli, wędrował do stawu pod nomem omen Królewską Górą.

Osobną historią była ta, jak król tańczył z żoną jaworowskiego kowala. Stąd też i piosenka, którą razem z bratem śpiewali wraz z innymi. Uczono jej w miejscowej szkole już małe dzieci:

„A z kądżeś ty? — Z Jaworowa! /I czyjaś to? — Kowalowa! /Kowalowa z końca /A choć że do tońca. / Kowalowa, Bóg daj zdrowa, / Bóg daj zdrowa, Kowalowa!”

Piosenka plebejska ale pokazywała ludzkie oblicze monarchy. Cementowała społeczność i spełniała istotną rolę w pobudzaniu świadomości wspólnoty interesów, konieczności stawiania w obronie kraju. Tak zwane „wesele jaworowskie” było wspólną zabawą dworu królewskiego i miejscowej ludności. Urządzoną z okazji przybycia do miasta dyplomatów Świętej Ligi, konstruujących porozumienie w sprawie antytureckiej koalicji. Przy takiej wspaniałej okazji król chrzcił swego syna Aleksandra. Chrzestnymi zostali nuncjusz papieża Innocentego XI, Marceli i księżna Radziwiłłowa, siostra króla Jana.

Dzieci może i nie do końca rozumiały rangę i znaczenie wydarzeń związanych z „weselą jaworowskim”. Na to, żeby w pełni docenić jego efekty miał nadejść czas w przyszłości. Były to jednak elementy edukacji historycznej nawiązujące do lokalnego terenu, tym mocniej zapadające w pamięć i działające na wyobraźnię.

W ich wspomnieniach miały pozostać na zawsze tutejsze źródelka: Paraszka i Siwa Woda, mocno zasiecznione, gejzerowate. Wybuchając co moment wysokim strumieniem wywoływały kaskady śmiechu. Źródelka od XVI w. cieszyły się renomą, bo ich woda stosowana była jako środek leczniczy na choroby, głównie skórne.

Dziadek opowiadał wnukom, że kuracje odbywali tu: Władysław IV i Jan Sobieski a także wiele innych znacznych osób. Leczenie było dostępne również dla zwykłych pacjentów, jeśli stać ich było na podróż. O wodzie szkielskiej (sklaney, jak ją zwał jej badacz, Erazm Sykst) Sobieski w liście do Marysieńki napisał „...*drugą pocztą poszlę opisanie wody jaworowskiej. Jest to woda, w której jest siarka i saletra, ale sama przez się jest zimna i pachnie jakby jaycami pieczonemi...*”. Słowa królewskie powtarzano jako reklamę skuteczności tejże wody. Jaka drogą stały się wiadome ogółowi to niezbadane.

W wolnych chwilach w domu u dziadka chłopcy oglądali rysunki ziemianek oszalowanych drewnianymi palami. Krótkich ni to rowów, ni okopów. Wyłożonych faszyną, zamaskowanych w brzoźowym zagajniku. Takie rysunki powstawały w chwilach ukrywania się w lasach. Chwilach połączonych z zadumą i tęsknotą za bliskimi. Same stały się pieczołowicie przechowywaną pamiątką, relikwią nieomal. Ich autorem był dziadek i niewątpliwie posiadał talent plastyczny. Kiedy je wykonał? Zapewne inspiracją były słowa przypominane przez Józefa Pułaskiego a ciśnięte w twarz Repninowi „Nasze stare, z trzynastego wieku zawołanie głosi, że należy raczej dom spalić i z bronią w rękę w lasach się poniewierać, niżli samowładnej mocy się poddać”. Kopiowali te obrazki. Poznawali też dzięki temu technikę konstrukcji takich zabezpieczeń. Szkiców tych nie mogli jednak zabierać do swojego pokoju położonego w tylnej części dworku.

Niekiedy poobiednią porą, Kostek i Józek spacerowali w stronę myśliwskiego dworku Jana III, otoczonego starymi lipami, zbudowanego na wyniosłym brzegu. Roztaczał się z niego widok na staw i dalszą okolicę. Wędrowali do zachowanej w Jaworowie z dawnych lat huculskiej czworobocznej graźdy tj. zagrody obronnej i młyna o wielu kamieniach. Także do potoku Stojanów, z sześciometrowym wodospadem, stanowiącym sporą atrakcję. Spadająca woda huczała i pieniała położoną niżej taflę potoku. Pewnie dlatego okoliczna ludność nazywała go po prostu hukiem. Nad powierzchnią utrzymywała się lekka mgiełka, dodająca tajemniczości skałkom spiętrzającym stojanowski nurt.

Jaworowskie strony sławne były w Galicji nie od wczoraj. Jaworów leży w mniej więcej równej odległości od Jarosławia (54 km) i Lwowa (ok. 48 km). Posiada drogi wylotowe (dawne gościńce): na Komarno do Jarosławia, na Niemirów, Potylicz, Rawę Ruską, (ok. 50 km) do Sądowej Wiszni i Rudek (z sanktuarium i ikoną Matki Boskiej, czczoną przez katolików i prawosławnych), do Sambora nad Dniestrem (ponad 50 km), gdzie rzeka opuszcza karpackie wyżyny i gdzie od dawna handlowano węgierskim winem. Węgrzyny: likierowe tokaje o korzenno-waniliowym smaku i barwie topazów, słodkie Aszú, wyciskane ze specjalnego rodzaju winogron, uprawianego także na Słowacji, wytrawne Egri Bikavér, egerskie kadarki to szczególnie ulubione i sprowadzane w oszronionych czarną pleśnią beczkach do Polski wina, których niejedna beczka trafiła do jaworowskiej piwniczki.

W mieście już w XVI wieku ustanowiono też skład soli z Drohobycza i Starej Soli. Było też wielu rzemieślników. Wyrabiali sprzęty potrzebne w gospodarstwach i drewniane zabawki. Niejedną malcy otrzymali od babci, a to wyrzeźbionych: kowala i niedźwiedzia naprzemiennie uderzających drewnianymi młotkami w także kowadło, a to pukawki, to koniki na kółkach, inne niekiedy kolorowo pomalowane kalejdoskopy lub wiatraki.

Matka twierdziła, że jak synowie dorosną, pojadą w świat, to mogą spotkać wielu Broczkowskich, że wszyscy są w tego samego pnia, kuzynami – nieważne, że mieszkają w dalszej okolicy: Baworowa, Sorocka czy Litowiszczu, Brodów czy Lwowa. Broczkowscy „rozsiadli się”: w Jaworowie, Szumsku, Brodach, Rudzie Brodzkiej nad Styrem ale i w Przemyślu, Jaśle, Korczynie.

Obydwaj chłopcy od młodych lat lubili oglądać mapy. Wiedzieli, że Baworów znajduje się na Tarnopolszczyźnie nad rzeką Gniezną, w dawnym powiecie trębowelskim. Podziwiali sztychy ruin zamku hr. Baworowskiego. Szumsk nad Horyniem z ruinami zamku Malińskich, z klasztorem franciszkanów był bardziej odległy, leżał w diecezji łucko-wileńskiej.

Mama uczyła ich w domu. Pilnowała systematyczności, wyra-
biała w nich poczucie obowiązku. Jaworowska 4-klasowa szkoła miejska
nie miała wysokiego poziomu. Edukacja prywatna dawała szerszą wie-
dzę. Kostek pochłaniał historię i geografię, Józek wolał matematykę
i przyrodę. Szybko przyswajali języki: niemiecki i francuski.

Pamiętano, że wśród absolwentów Akademii Zamojskiej byli:
Antoni i Kazimierz Broczkowsy, ale zlikwidowano ją w 1784 roku za-
mieniając w Liceum, kolejno przeniesiono ją do Szczepieszyna, budy-
nek przeznaczając na koszary.

Najbliżej domu działały gimnazja: Akademickie we Lwowie
i bardziej prowincjonalne ale mniej poddane naciskowi germanizacyjnemu
w Samborze (działające jeszcze „za polskich czasów” tj. od 1792). Nie-
stety z programu wyeliminowano nauki przyrodnicze, ograniczając wie-
dzę do przedmiotów klasycznych: greki, łaciny, religii, geografii z historią
i matematyki. Wymagano pamięciowego opanowania materiału. Naucz-
yciele niezbyt dbali o rozwój intelektualny powierzzonej im młodzieży. Ła-
twiej było w Jaworowie kształcić dziewczęta, działała tu bowiem Szkoła
Główna prowadzona przez siostry bazylianki tzw. „czerniczki”.

Józek szybko się zakochał w poznanej we Lwowie pannie Basi
Głodowskiej, pochodzącej z majątku Biała koło Żółkwi. Pobrali się za zgodą
rodziców i już w 1801 roku urodził się im syn obdarzony imieniem Izidor.

Kuzyn naszych bohaterów: Józefa i Konstantego też Józef, choć
o parę lat młodszy także marzył o wojskowej karierze. Wybrano dla niego
gimnazjum św. Anny w Krakowie, które ukończył w 1805 roku. Akurat
wówczas skutkiem nadwornego dekretu uniwersytet lwowski władze po-
łączyły z krakowskim. We Lwowie zostało tylko Liceum (podniesione do
rangi Uniwersytetu Franciszka dopiero 4 listopada 1817 roku). Kostek
kończył szkołę w Samborze. Na wyprawę moskiewską z Napoleonem
w 1812 r. był za młody. Uważnie śledził jej koleje i widział smutny od-
wrót oddziałów, przemarzniętych, odzianych byle jak, zdesperowanych.
Jako młodszego matka nie chciała wysyłać go nazbyt daleko od domu.
Obawiała się też, aby nie poszedł w ślady brata Józefa i kuzyna o tym
samym imieniu i aby samowolnie nie uciekł do wojska.

Dwóch Józefów w 1807 r. wyjechało do Księstwa Warszaw-
skiego. Zaciągnęli się do Armii Polskiej formowanej pod sztandarami Na-
poleona. Kuzyn Józef w 1812 w randze kapitana wojsk polskich służbę
zakończył dymisją. Zaraz potem poślubił 24 letnią Maryannę z Iwoszeń-
skich, która 14 marca 1813 r. o godzinie 8 wieczorem urodziła mu córkę,
Józefę Michalinę Hipolitę. Młodzi zamieszkali w Lublinie.

Chrzest miał miejsce przed ks. Pawłem Nesterowiczem, kanoni-
kiem i seniorem kolegiaty lubelskiej, urzędnikiem Stanu Cywilnego
Gminy Lubelskiej w powiecie i departamencie. Podczas tej uroczystości

obecni byli: Łukasz Dolecki, lat 65, chrzestni: wielmożny Michał Grabkowski, geometra lat 34 i Jan Omylski, zakrystian kolegiaty lubelskiej, lat 58. Gromadka dzieci szybko się powiększała. Matce, która została babcią wydawało się, że tak szybko dorośli. Chciała, aby jak dawniej można było sadzać ich na kolanach. Opowiadać dawne dzieje i baśnie. Młodzi mężczyźni szukali mocnych wrażeń. Potrafili na chwilę przytulić matkę, pocałować ją i pogłaskać po siwiejących włosach ale Jaworów i okolica stały się dla nich za ciasne i zbyt prowincjonalne. Wyprawy nad Szkoło przestawały być atrakcyjne.

Konstantego pociągał Lublin, w którym odwiedzał brata, szwagierkę, ich dzieci i kuzynostwo z małą bratanicą Józią. Pociągał go Lwów i Stanisławów, marzył o Wiedniu.

Od 1811 roku można było od czasu do czasu przeczytać „Gazetę Lwowską”, były tu artykuły: polityczne, ekonomiczne i naukowe (wcześniej ukazywał się tylko niemiecki „Lemberger Inteligentz-Blatt”). W 1816 r. ukazały się literackie „Rozmaitości”.

W kilka lat po ukończeniu gimnazjum przez Konstantego późną jesienią ojciec zabrał go ze sobą do Krakowa. Józef dobrze znał miasto z którym kończył szkołę, opowiadał o nim ale Konstanty chłonał wszystkie zabytki: oczami, uszami, całym sobą. Odpoczywali nad wiślanym brzegiem spoglądając na królewski zamek i białe mury skałecznej świątyni. Wiatr od rzeki chłodził czoła i karki spocone wędrówką wśród zabudowanych kamienicami ulic. Odpoczywali w cieniu miejskich murów.

Koronacja cara Aleksandra na króla Polski w 1815 roku mocno oburzała Polaków, tak szlachtę jak i mieszczan. Koszary austriackie na wzgórzu wawelskim, dawnej siedzibie polskich królów były odczuwane zarówno przez ojca jak i synów jak zniewaga. Młodym dziedzicom trudno byłoby zamieszkać w tym wielkim i pięknym mieście. Koszty stancji a tym bardziej hotelu były wysokie. W czasie tej podróży odnowili znajomość i poznali dalszą rodzinę pana Jana Kantego hr. Stadnickiego, często bywającego we Lwowie. Wzajemna sympatia szybko zapocentrowała. Opuścił Lublin, wyjechał do Małopolski.

MARIA „MARZENA” KOROL

BYŁ SOBIE MIŚ

Szklane, brązowo-złote oczka jeszcze błyszczą, choć tyle lat mają za sobą. Futerko się powycierało, nadpaliło, cały straciłem kolor. Ech... Dobrze, że mama Tosia dziury połatała, to trociny się nie wysypują i jakoś jeszcze wyglądam.

Kiedyś to było życie! Siedziałem sobie na półce w sklepie we Lwowie, polskim Lwowie. Byłem elegancki, pachnący drzewem i nowością z czerwoną wstążeczką pod szyją. Prowadziłem inteligentne dysputy z pięknie ubranymi i pachnącymi lalkami.

Był rok 1935.

Pewnego dnia wszedł do sklepu energiczny rudy pan z włosami wygładzonymi brylantyną, w ładnym ciemnym garniturze, w białej koszuli i pod krawatem. Rozglądnął się po sklepie i spojrzał z zaciekawieniem na mnie.

– To będzie dobry upominek dla mojego synka – powiedział do pani stojącej za ladą.

– Proszę zapakować.

Ekspedientka włożyła mnie do pudełka wyłożonego bibułą i tak oto rozpocząłem życie przytulanki, zabawki, która miała podzielić los wygnańców wojennych i przejść do historii.

Wiek pudełka podniósł chłopczyk z rudymi lokami na głowie i niebieskimi oczkami.

– Tatusiu! To mój miś ?! – zapytał chłopczyk ojca.

– Tak Lesiu! To Twój miś! –”.

– Dziękuję Tatku! –

– Mama! Mama! Miś! –

I tak oto stałem się towarzyszem życia chłopca o imieniu Lesiu! Wiedziałem beztrudnie życie, jak na kochanego misia przystało w domu w Winnikach pod Lwowem. Czasem siedziałem w ogrodzie czy sadzie, czasem na łóżku, czasem na kolanach u którejś z ciotek, lub wujków Lesia.

Tak upłynęło parę lat. Było parę przeprowadzek. Mama Lesia, Tosia – nauczycielka po Seminarium Nauczycielskim im. Zofii Strzałkowskiej we Lwowie przeprowadzała się parę razy zmieniając szkoły, w których pracowała, aż dostała posadę w Szkole Powszechnej w Bojańcu, na Wołyniu. Tu zamieszkaliśmy w mieszkaniu służbowym w Szkole Powszechnej. Z nami to znaczy mamą Tosią (Antoniną z Majewskich Korolową), Lesiem (Lesławem Korolem), oraz mną Misiem mieszkała jeszcze gosposia Kasia, która zajmowała się domem i dzieckiem, gdy mama Tosia

– kierowniczką szkoły prowadziła lekcje. Ten elegancki pan, który mnie kupił, tata Lesia, Michał (Michał Korol) przyjeżdżał w soboty i niedziele albo my z mamą Tosią jeździliśmy do jej rodzinnego domu do Winnik¹ w dniach wolnych od lekcji.

W szkole było wesoło, pełno dziecięcych śmiechów, okrzyków, bieganiny. Dzieci chętnie się uczyły, chętnie śpiewały, lubiły zabawy na świeżym powietrzu. My z Lesiem często także w nich uczestniczyliśmy.

Na początku września tato Michał przyjechał, pożegnał się i poszedł na wojnę – był podporucznikiem rezerwy.

17 września 1939 roku nastąpiła zmiana. Bojaniec opanowany był przez Armię Czerwoną. Zmienił się także program nauczania. Obowiązywał nowy porządek, nowe prawo i nowe granice. Część mieszkańców zaczęła wyjeżdżać sama, część przymusowo wywożono.

Pewnej kwietniowej nocy koło 1:30 rozległ się łomot do drzwi. Słychać było krzyki:

– Otwierać! –

Kasia pobiegła otworzyć. Weszło pięciu uzbrojonych mężczyzn, trzech żołdaków w mundurach, i dwóch cywili. Stanęli przed mamą Tosią i przełożony „starszyna” machając jakąś „bumagą” powiedział: – „Prykazom wierchownowo sowieta pieriesielajem was w druguju obłast”.

I tak w nocy z 12 na 13 kwietnia 1940 roku razem z Antoniną i jej synem Leszkiem ja miś zostałem wywieziony z domu, w nieznane.

Wyjechałem z domu w Bojańcu na furmance, przytulony mocno do Lesia. W drodze na stację kolejową w Żółkwi dziecko wreszcie usnęło splakane. Bałem się, że mnie wypuści z rąk i zostanę gdzieś w polu na zmarnowanie, sam chętnie wczepiłbym się w chłopca, gdyby tylko moje trocinowe łapki na to pozwoliły.

Mały chłopczyk ścisnął mnie mocno, przez sen, jakbym był jego największym skarbem.

W Żółkwi załadowano nas do bydłowych, zabudowanych wagonów. Mama Tosia zajęła górną półkę². Umieściła tam swego synka Leszka ze mną pod jego pachą, walizkę, koszyk z rzeczami, i co tam jeszcze miała. W wagonie byli Polacy, Żydzi, Ukraińcy, starcy i dzieci, kobiety i mężczyźni, niemowlęta też.

Z Żółkwi pociąg ruszył do Lwowa, na stację towarową, a stamtąd po „doładowaniu pasażerów”, poprzez Kleparów, Podzamcze, Podboże³, poprzez Złoczów, Tarnopol do Kurska.

¹ Miejscowość po Lwowie, obecnie dzielnica Lwowa.

² Górna półka to było świetne miejsce w wagonie. Było tam małe prostokątne okienko zabite deskami, po wybiciu których, można było patrzeć na świat. Gdy było zimno okno się zatykało poduszką i było cieplej.

³ Dzielnice Lwowa.

Tam pociąg zmienił kierunek na południowy wschód. Przejeżdżaliśmy przez Dniepr, w oddali widać było Kijów. Krajobraz stawał się coraz bardziej monotony. Potem przejechaliśmy przez Wołgę, potem jeszcze przez jedną rzekę – Ural i dalej na południe.

Pewnego dnia pociąg zatrzymał się na małej stacji kolejowej. Była to Ałga. Był 26 kwietnia 1940 roku. Minęło 2 tygodnie podróży pociągiem. W tym czasie wiele widziałem. Za okienkiem zmieniające się krajobrazy: rzeki, pola, miasta, inne pociągi z ludźmi. A w wagonie: śmierć, porody, strach, radość, kłótnie, pocieszanie się, ludzką niedolę, ludzką fizjologię, ludzkie sprawy dewastacji, w nieludzkich okolicznościach. Wszak była wojna. Mój mały misiowy rozumek nie mógł pojąć dlaczego wywożono tyle ludzi gdzieś w obce strony, do jakiegoś Kazachstanu.

Myślałem, że teraz już pojedziemy do jakiegoś domu. Ale teraz zaczęło się czekanie na mamę Tosię.

Ciągle, dzień za dniem gdzieś chodziła. Jak potem usłyszałem, chodziła rejestrować siebie i syna w komisariacie NKWD⁴. Ciągle też ją przesłuchiavano, wypytywano: „a kto ona, a co tu robi, a dlaczego, a gdzie jej mąż?” Nie rozumiałem tego, przecież sami ją tu przywieźli.

Wreszcie któregoś dnia przyjechały „gruzawiki” jak na to mówili, czyli ciężarówki. Załadowano nas z rzeczami i ruszyliśmy. Jechaliśmy w step 95 kilometrów, aż pod miasto Aktiubińsk, do kołchozu „Mirovaja Rewolucja”. Jak się dowiedziałem potem kołchoz to taki olbrzymi teren ziemi państwa radzieckiego, gdzie zatrudnieni ludzie pracowali przy zwierzętach, w sadzie, siali i zbierali zboże, sadzili i doglądali warzywa, i wszystko co wyrosło i dojrzało, a nadawało się do jedzenia, zbierali, pakowali i wywozili dla wojska, Armii Czerwonej. Mieszkaliśmy w ziemiance u starej Kazaszki Oczerenczychy aż do wiosny 1941 roku. Mama Tosia chodziła do pracy 20 kilometrów w step, do sadu i tam podlewała drzewa i krzewy owocowe, warzywa, pielęgnowała je, odchwaszczała, pielęła, zbierała owoce ale nie dla siebie, dla wojska. Oczywiście wszyscy pracujący byli pilnowani, aby czegoś nie ukradli, albo sami nie zjedli. Gospodyni była gwałtowną kobietą. Raz na naszych oczach ukręciła kotu łebek za to, że wypił trochę śmietany. Od tego czasu mama Tosia starała się przenieść do innego kołchozu. Bo tylko tak można było postąpić, a przecież bała się o życie dziecka i swoje. Udało się wiosną 1941 roku. Kazali nam się spakować i przewieźli nas do miejscowości Tanaberhen (Tanabergen). Tam przeżyliśmy następne 4 lata. Straszne to były lata.

⁴ Narodnyj Komisariat Wnutriennych Diel (Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych).

W dzień okropny upał, nie było gdzie się schować do cienia, w nocy prawie mróz, nie było jak się ogrzać. Dorośli doglądali bydło, mama Tosia wozila ziemię furmanką, Leszek chodził z innymi dzieciakami truć susły w stepie, czasem nawet udało mu się pojeździć na wielbłądzie. Czasem zabierał mnie na to trucie susłów. Dzieci z dorosłym dozorcą jechały na wozie lub furmance w step, gdzie były norki susłów w ziemi.

Tam każde dziecko dostawało puszkę, którą się po otwarciu wkładało do norki susła. Ale najpierw zanim się cokolwiek zrobiło, trzeba było wyczuć skąd i dokąd wieje wiatr. Potem trzeba było się ustawić nad norką tak, aby wiatr wiał w plecy, odciągnąć sznurek i wrzucić puszkę do norki. Z puszkki wydobywał się dym. Czasem się nawąchałem. Ale dobrze że ja, a nie Leszek, jeszcze by się zatrzał, jak te susły.

Czasem gdy „opiekun” nie widział, zamiast je truć, chłopak łapał je na sznurki. Przynosił potem do domu mamie Tosi, a ona robiła ucztę. Wszyscy wtedy głodowali, nie było jedzenia, były choroby i wszy. Dla mnie, misia też nastał trudny czas. Mama Tosia wiedząc jak bardzo Leszek był ze mną zżyty, próbowała po kryjomu zamienić mnie na kilo mąki, masło, ser, czy jajka. Wzięła mnie i schowała pod kocem, że niby się gdzieś schowałem, a gdy chłopiec pójdzie w step miała mnie wziąć zanieść na targ. Leszek zobaczył, że mnie nie ma na stałym miejscu, zaczął nerwowo szukać, przeraźliwie płakać i krzyczeć, a znalazłszy mnie, przytulił mocno do siebie i pobiegł ze mną w step. Przyczailiśmy się za niewielkim pagórkim, miedzą właściwie i zostaliśmy tam aż do zmroku. W stepie zmrok zapadał szybko. Po prostu nagle w 2 minuty robiło się ciemno i już noc.

Mama Tosia chodziła, wołała, płakała, złościła się. Leszek nie wracał cały dzień. W nocy mama Tosia poszła w step wołając i obiecując, że miś zostaje, że nie sprzedaje misia. Po jakimś czasie Leszek wrócił razem ze mną do domu, do mamy. Więcej już nie rozstawaliśmy się ze sobą ani na chwilę. Jak dobrze być ze swoimi, wśród swoich.

Potem nastał też inny trudny czas. Leszek zachorował na malarię. Co drugi dzień dzieckiem wstrząsały dreszcze i gorączka. Wreszcie mamie Tosi udało się zdobyć lekarstwo, które zadziałało. Leszek zaczął zdrowieć. Potem zachorowała mama Tosia. To dopiero była tragedia. Leszek robił co mógł, dobrze, że zostało trochę tego lekarstwa, które jego wyleczyło, ale z mamą było bardzo ciężko.

Chłopak chodził łowić ryby, łapał susły. Nauczył się szukać jedzenia i przynosił mamie. Także gotował. A miał dopiero niecałe 11 lat. Po dwóch ciężkich tygodniach choroby mama Tosia wreszcie zaczęła zdrowieć.

A potem to już było lepiej. Mama dostała pracę w kołchozowym sklepiku, bo umiała liczyć, mówiła po rosyjsku, ukraińsku, parę słów po kazachsku. Przynajmniej wreszcie było co jeść.

Nastało lato 1945 roku. Skończyła się wojna. Trochę czasu minęło zanim mama Tosia załatwiła pozwolenie na wyjazd z ZSRR. Była pomocna w sklepiku, wszyscy ją chwalili, Kazachowie ją szanowali, mówili „tiotia Korolowa ty chorošyŭj czełowiek, ty pomagaješz naszym rebiatam uczitsa pisat i czitat”.

Gdy mama Tosia miała w ręku „bumagę” na wyjazd z ZSRR, przybiegła do domu, zawołała Leszka, kazała mu rzucić wszystko, wziąć ze sobą tylko to co koniecznie niezbędne.

– Pospiesz się, musimy uciekać zanim się rozmyślą. Pakuj się szybko i ubieraj. Wyjeżdżamy, wracamy do Polski! –

Leszek oczywiście wziął mnie. Byłem jedyną pamiątką po dzieciństwie w Winnikach pod Lwowem, jedynym prezentem od ojca, o którym nie było nic wiadomo. Byłem też iskrą nadziei, że może kiedyś Leszek wróci w rodzinne strony, zobaczy ciocie i wujków, pobawi się z kuzynostwem.

Ciężarówką udało się dostać do Bereżańska. Potem do Odessy. Tu na dworcu kolejowym były tłumy. Wszyscy czekali na pociągi. Część to byli tacy sami jak my, którzy wracali do Polski, do domu. Inni to byli repatrianci. Władza sowiecka nakazała im się przesiedlić na teren Polski Ludowej lub przyjąć obywatelstwo radzieckie, bo tutaj już był Związek Radziecki.

Trzy tygodnie czekaliśmy na pociąg do Lwowa. Mama Tosia tam chciała wrócić z synem. Miała nadzieję spotkać kogoś z rodziny. Na koniec jeszcze mamę Tosię okradli. Zabrali jej kuferek i torebkę.

A w niej wszystkie pieniądze, i co tam jeszcze. Dobrze, że dokumenty na wyjazd miała przy sobie, w kieszonce bluzki.

No i dobrze, że Leszek mnie mocno trzymał, bo też by mnie wzięli. Puścili czując, że dziecko trzyma zabawkę, zwłaszcza, że była trochę podniszczona. Przez te 10 lat postarzałem się, nie byłem już takim ślicznym pluszakiem jak kiedyś. Futro mi się przerzedziło. Nie dziwota, tyle przeżyć jak na jednego pluszowego misia wypchanego trocinami!

Wreszcie podstawiono pociąg do Lwowa. Mama Tosia zapakowała nas do wagonu i pojechaliśmy. Do domu! Wróciliśmy do Lwowa!

Ale tylko na chwilę. Dom w Winnikach był w obcych rękach. Ciocia Wisia (starsza siostra Tosi Ludwika Majewska) część rzeczy spakowała i schowała. Na szczęście sama jeszcze nie wyjechała. Łzom radości ze spotkania nie było końca.

Jakiś czas trwały formalności związane z repatriacją do Polski. Wreszcie ruszyliśmy szukać domu i rodziny w Polsce. Mama Tosia z Leszkiem, ciocia Wisia i ja, miś pociągiem ze Lwowa dojechaliśmy do Radymna koło Przemyśla. Tam została ciocia Wisia z rzeczami, a my mama Tosia, Leszek i ja pojechaliśmy do Drohojowa do wujka Tadzika, młodszego brata mamy Tosi. To już był początek listopada 1945 roku. Ledwo zdążyliśmy poznać żonę wujka ciocię Myszkę, a już znów trzeba było uciekać, tym razem do lasu. Na wieś napadli banderowcy, mordowali, grabili i palili zabudowania. Trochę się podwędziłem, Leszek szybko ugasił ogień, a potem mama Tosia przyszyła mi łatki na łapkach.

Dzięki rodzinie mama Tosia zamieszkała z synem Leszkiem w Polsce. Stworzyła sobie i synowi nowy dom, biedny, ale bogaty w rodzinę. Tata Michał do Polski nigdy nie wrócił, syn z ojcem już nigdy się nie widzieli. Jediną rzeczą która ich łączyła byłem ja, miś.

Dlatego byłem dla nich taki cenny. Ja Miś Sybirak jak mnie w rodzinie nazywano. Nie ma już wśród żywych ani mamy Tosi, ani taty Michała, ani Leszka. Została tylko córka Leszka.

I ja zostałem... Miś Sybirak. Wyłysiały, pocerowany, poplamiony, przeszło 80-letni Miś Sybirak jestem świadectwem losu tysięcy Polaków wywiezionych nocą w 1940 i 1941 roku ze swych domów na zawsze w nieznane...

Mnie się poszczęściło, wróciłem z południowego Kazachstanu z rodziną i z dzieckiem dla którego zostałem kupiony...

Wróciłem do Polski....

P.S.

Dnia 17 września 2015 roku na Światowym Zjeździe Sybiraków córka Leszka przekazała mnie jako eksponat do „Chaty Sybiraka” w Szymbarku na Kaszubach do Centrum Edukacji i Promocji Regionu. Jestem w gablotce. Teraz wszystkim, którzy zechcą mnie oglądać opowiadam o losach jednego pluszowego misia i jednej polskiej rodziny....

JUSTYNA SZNAJDER

LABIRYNT

To był wtorek. Jak co dzień po skończonych zajęciach, wyszłam przed gmach tarnowskiego „Plastyka”. Wiał przenikliwy, nieprzyjemny wiatr, a niebo pokrywały szare chmury. Spojrzałam na ludzi opuszczających szkołę. Większość szła w grupkach, śmiejąc się i plotkując. Część zmierzała do Biedronki, inni skręcali za garażami, a reszta spieszyła w kierunku Almy. Wszyscy ubrani w kolorowe przykuwające uwagę stroje. Im bardziej oryginalne, tym lepiej – wymyślne kapelusze, długie spódnice, religijne wzory na bluzkach. Jakby chcieli podkreślić swoją unikatowość. Jednak –pomimo tych zabiegów – według mnie wszyscy wyglądali tak samo. Pierwsze co nasunęło mi się na myśl, to wspomnienie filmu: Koyaniszqatsi. Przedstawiono w nim zabawne porównanie ludzi do parówek na taśmie produkcyjnej. Spakowani w kupę i podążający dobrze znaną ścieżką, a nad nimi wiecznie czuwająca ręka, która zawracała ich na odpowiedni tor. Padło również takie hasło jak: "grupowa iluzja". Tym właśnie była cała ta sztuczna wyjątkowość i wyrażanie siebie. Ja zgubiłam się jednak w całej tej maszynerii. Nie miałam pojęcia, gdzie chcę się udać. Myśl ta bardzo mnie przytłaczała. Z drugiej strony głupio było tak stać i się przyglądać. Z głośnym westchnięciem odwróciłam się i ruszyłam w przypadkowym kierunku.

Kroczyłam powoli ulicą Dąbrowskiego w stronę Placu Ofiar Stalina. Niewielu ludzi mijałam. Pewnie nie opuszczali domu ze względu na pogodę. Było naprawdę paskudnie – zanosilo się na deszcz. Jakiś mężczyzna wychodził z salonu tatuażu. Miał długą brodę i czarną skórzaną kurtkę. Przeszedł na tyle blisko mnie, że usłyszałam fragment jego rozmowy przez telefon. Z kontekstu domyśliłam się, że rozmawia ze swoją żoną albo dziewczyną. Przeklinał co drugie słowo.

Zostawiłam za sobą pomnik i poszłam dalej prosto. Nie widziałam już nawet jadących samochodów. Jedyne żywe dusze, jakie spotkałam, to matka idąca za rękę ze swoją córką. Dziecko opowiadało jej coś z wielką pasją, a ona nawet go nie słuchała. Darła ciągle do przodu, a dziewczynka ledwo za nią nadążała i potykała się o swoje nóżki. Zrobiło mi się jej trochę żal z powodu braku zrozumienia kobiety, ale dorośli już tak mają. Zawsze trzeba się gdzieś spieszyć, zawsze trzeba coś jeszcze załatwić, zawsze coś umyka. Kiedy to do mnie dotarło poczułam się jeszcze bardziej nieswojo. Sama nie wiedziałam, gdzie właściwie idę i co chcę zrobić. Nigdzie się nie spóźnię, bo przecież nie mam wyznaczonego

czasu. Nie jestem umówiona. Nie mam celu. Nie ma żadnego "spieszyć", nie ma "załatwić" i nie ma "umyka". Zatrzymałam się gwałtownie. Miałam wrażenie, że znajduję się w jakimś labiryncie, a najgorsze w tym wszystkim było to, że doskonale znałam każdą drogę.

Mieszkłam w Tarnowie praktycznie od urodzenia i rozmieszczenie ulic nie było dla mnie zagadką, ale pomimo tego nie wiedziałam gdzie jest wyjście, ani jak je rozpoznać. To przerażająca perspektywa zgubić się w czymś co jest tak dobrze ci znane i nie wiedzieć dokąd się zmierza. Nawet jeśli istniałby koniec, to ja nie wiedziałam jak on wygląda. Czy popełniłam jakiś niewybaczalny czyn, że skazano mnie na błądzenie po tym labiryncie? Może jestem drugim wcieleniem Syzyfa i to mój kamień? Nieważne ile razy minę cel – nie rozpoznam go.

Nie mogąc dłużej stać w miejscu skręciłam między bloki, żeby zapalić papierosa. Było dziwnie zimno i ręce mi się trzęsły, kiedy odpalałam zapalniczkę (a może tylko mi się zdawało). Do mojego nosa dolały zapach brudu z kratek ściekowych i koszy na śmieci, można było w nim wyczuć jeszcze obecność jakiegoś osiedlowego żuła. Oparłam się o (niegdyś beżową, teraz już bardziej szarą) ścianę. Wpatrywałam się w dym znikający w powietrzu na tle odrapanego tynku. Tak samo szybko znikaly moje nadzieje na odnalezienie sensu w tym co robię. Niedaleko znajdował się Urząd Miasta, zerknęłam przez okno, żeby na chwilę odwrócić swoją uwagę od dręczących mnie myśli. Dostrzegłam drobną sprzątaczkę. Siedziała w kącie w swoim kantorku. Płakała. Musiałam natychmiast opuścić to miejsce. To wszystko przyprawiało mnie o ból brzucha. Wychodząc zza rogu prawie wpadłam na młodego chłopaka. Nie mógł mieć więcej niż czternaście lat. Zapytał mnie o "szluga". Nawet nie miałam ochoty odpowiadać. Byłam już daleko przed nim. O ile wcześniej szłam wolno, teraz pędziłam przed siebie. Zielone światło, które nagle się zapaliło, wskazało mi drogę, więc skręciłam w ulicę Mickiewicza.

Wróciłam do poprzedniego tempa dopiero, gdy zobaczyłam przejście podziemne. Po drugiej stronie ulicy na przystanku siedziało kilkoro ludzi, ale wszyscy byli w jakichś parszywych nastrojach. Minęłam fontannę, która była wyjątkowo pozbawiona życia. Na ustawionych w pobliżu ławkach ktoś czarnym markerem napisał "CHWDP". Tego dnia nawet łososiowy budynek wyrastający tuż obok, gdzie znajdował się internat Liceum im. Szczepanika, wydawał się tylko starą sypiącą się konstrukcją. Jeśli odwiedzałyby to miejsce w przeszłości, niewątpliwie byłby to przyjemny punkt. Środek mojego labiryntu, w którym strudzony wędrowiec może odsapnąć i zregenerować siły na dalszą drogę. Niestety spóźniłam się. Zastałam jedynie kolejny przygnębiający widok na mojej niezrozumiałej trasie, a może tu nie chodziło o miejsce. Może to we mnie

coś się zepsuło. Nie potrafiłam już zadowolić się widokiem sprawnie wyłożonych płytek, prostotą odciążających nogi ławek i wspomnieniem fontanny, tryskającej latem milionem strumieni wody.

Schodziłam w dół na przejście, kiedy nagle usłyszałam ciche "cześć" dobiegające z mojej lewej strony. Kolega stanął w odległości ramienia ode mnie.

– Hej – odpowiedziałam ze sztucznym uśmiechem.

Nie miałam ochoty na rozmowę. I tak nie znałam go zbyt dobrze. Była to jedna z tych osób, z którymi rozmawia się tylko dlatego, że głupio jest iść w tę samą stronę i milczeć. Osobiście taką wymianę uprzejmości nazywałam "gadką-szmatką". W tamtej chwili utknęłam właśnie w niechcianej konwersacji. Dowiedziałam się jakie koncerty są na rynku w najbliższym czasie, kto, gdzie imprezował i ile kosztowały markowe buty, które mój znajomy miał na sobie. Byłam mu wdzięczna z jednego powodu. Cały czas mówił, więc nie musiałam się wysilać, żeby podtrzymać rozmowę. Zdałam sobie sprawę, że zbliżam się w stronę domu. Ktoś mógłby zapytać dlaczego od razu tam nie poszłam i co to w ogóle za bezsensowne szwendanie się? Dom był chyba jednak ostatnim miejscem, w którym chciałam się znaleźć i zdecydowanie nie wyjściem, poszukiwanym przeze mnie. Panująca w nim atmosfera wzmacniała mój brak pomysłu na siebie. Wracając do niego czułam się jak niewłaściwa osoba, w niewłaściwym miejscu, o niewłaściwym czasie. Tym bardziej, że każda z czynności, do której wykonywania, mieszkanie dawało mi możliwość, po prostu mi się nie podobała. Już dawno wszystkie takie drobne rzeczy, jak zabawa z psem, nauka do szkoły, rysowanie szkiców na malarstwo, przechodzenie po raz kolejny tej samej gry lub czytanie książek - nudzących mnie już w połowie - przestały mi sprawiać przyjemność, a zaczęły po prostu wręcz mnie irytować. Nawet taka rzecz, jak rozmowa z kimś z rodziny wyprowadzała mnie z równowagi z powodu różnicy zdań. Dlatego też stwierdziłam, że to dobry moment na zmianę kursu. Tym bardziej, że wiązało się to ze spławieniem kolegi. Toteż pod Seminarium kulturalnie się pożegnałam i odbiłam na ulicę Wałową.

Zerknęłam na wysokie schody, pośrodku których umiejscowiona była kolejna fontanna. Garstka ludzi szczerlnie opatulonych płaszcami zbiegała w dół. Nikt się nie oglądał. Każdy gdzieś się spieszył. Jeden z mężczyzn wyglądał jak gruby biznesmen. Miał małą czarną teczuszkę i eleganckie spodnie od garnituru. Na jego głowie pozostało już niewiele włosów. Spod okularów wydawał się patrzeć na świat z pogardą. Szybko mnie minął i zniknął gdzieś za rogiem. Następnie zauważyłam kobietę, próbującą sprawiać wrażenie uwodzicielki. Widać było, że zbliża się do pięćdziesiątki i bardzo chce powstrzymać swoje starzenie. Nałożyła na

twarz chyba kilkucentymetrową warstwę makijażu. Prawdopodobnie wcześniej uchodziła za piękność i nie mogła się pogodzić ze zmianami jakie na jej skórze odcisnął czas. Jej ubranie miało świadczyć o elegancji i skromności, ale dobrała je w taki sposób, że wyglądała, jak oszustka próbująca ukryć swoją prawdziwą naturę, pod pierwszym lepszym przebraniem. Kiedy schodziła po schodach, zdawało się, że zaraz się wywróci na zbyt wysokich szpilkach. Po raz kolejny uznałam, że żyjemy w bardzo dziwnym świecie. Wdrapałam się na górę i usiadłam na ławce na przeciwko Sofy. Szybko pożałowałam tej decyzji, kiedy za szybą zobaczyłam siedzących tam klientów i ich sztuczność. Siedzące w grupce, plotkujące niby przyjaciółki, które gdy jedna odwracała się, żeby zawołać kelnera, krzywiły się. Znajdowała się tam również para nazbyt ostentacyjnie obnosząca się ze swoją "miłością".

Wibrujący telefon przerwał moje obserwacje. Zdziwiłam się kiedy zobaczyłam wiadomość od koleżanki piszącej że chce się spotkać. Na szczęście była to osoba zupełnie innego pokroju niż znajomi od "gadki-szmatki". Ucieszyłam się zatem. Wstałam, żeby ruszyć pod Tramwaj na ulicy Krakowskiej. Zawsze to jakaś odmiana. A może to właśnie koleżanka pokaże mi upragnione wyjście? Ruszyłam więc powoli w umówione miejsce.

Moja historia nie ma szczęśliwego zakończenia. Właściwie to nie ma żadnego zakończenia, tak samo jak nie miała początku. Jest to zaledwie fragment wyrwanej z życia większej całości. Fragment mojej codziennej drogi przez labirynt. Podejrzewam, że wielu ludzi przebywa podobną. Nie mam pojęcia czy znajdują swój cel, czy dalej błądzą albo czy wyjście jest tylko iluzją wynikającą z wyczerpania. Nie wiem czy kiedyś odnajdę swoje i czy będę potrafiła je rozpoznać. Na razie szwendam się po wszystkich możliwych przejściach. Może kiedyś ktoś w końcu mnie odnajdzie i czuwająca gdzieś ręka wrzuci mnie z powrotem na właściwy tor.

ŁUKASZ PFEIFER

TROCHĘ INACZEJ O EKSPORCIE

W POCIĄGU

08.09.2012

Około godziny 17.30 wyszedłem z domu. Dwie godziny wcześniej Patrycja z Sandrą poszły do mojej teściowej. Sandra ma tam zostać na noc z uwagi na jakieś kolejne, tandetne szkolenie Patrycji, zorganizowane przez Powiatowy Urząd Pracy w Tarnowie. Oczywiście wszystko w ramach rzekomych działań interwencyjnych. Podkreślam rzekomych, bo i tak do niczego jej się to nigdy nie przyda. Ale Państwo działa. Walczy z bezrobociem organizując szereg szkoleń typu „moje lepsze jutro”, „video c v” (patrz: robienie z siebie pajaca przed kamerką komputerową), „aktywnie szukam pracy” itp. Beznadzieja. Profesjonalną żenadą jest fakt finansowego zysku bliżej nieznanych nam osób na tych biednych ludziach. Do tego zaliczymy też podarowanie uczestnikom tego żenującego kursu po jednej sztuce długopisu i dyplomu z unijnym wzorkiem „kapitał ludzki”. I na tym finito.

A tak na serio to dziś o godzinie 20.13 mam zamówioną miejscówkę w ekskluzywnym, polskim pociągu do Wrocławia Głównego. Bilet kosztował mnie 58 złotych. Patrycja poszła z Sandrą do „Maxa” po kwiaty dla teściowej z okazji jej imienin. Nigdy nie obchodziłem tego święta, choć podobno powinno się. Ja wolę obchodzić urodziny, bo wiem że o nich nie zapomnę. Ale to nie po chrześcijańsku. Tak przynajmniej mnie uczono na studiach. Nieważne. W tej chwili liczy się tylko fakt, że czekając na moją rodzinę i kwiaty oddaję mocz w krzakach koło Zespołu Szkół Mechaniczno-Elektrycznych. Mam nadzieję, że mam do tego prawo. W końcu niedawno skończyłem trzecie piwo, a jak się pakowałem trochę wódki z colą przy akompaniamencie Guns’N’Roses z łezką w oku.

Trochę boję się tego wyjazdu. Tydzień temu dowiedziałem się że mogę jechać do Belgii, jakby nie było jednego z najbogatszych krajów w Europie. Klaudia, koleżanka Patrycji to załatwiła, bo pracuje w biurze pośrednictwa pracy we Wrocławiu. Jak się dowiedziałem o wyjeździe to wpadłem w euforię. W końcu! Ciągłe o tym myślałem. Wreszcie jakaś kasa. Normalna, a nie – przytaczając słowa mojej żony – pieprzony tysiąc na pół etatu z dopełnieniem, który i tak nie wiadomo na co wydać. Płacić rachunki czy żyć? Jak pogodzić jedno i drugie w realnej, polskiej rzeczywistości?

Do niedawna chodziłem po tarnowskich ulicach i napadały mnie myśli, żeby w imię bliżej nieokreślonych zasad, podnieść kamień i wałnąć nim w Urząd Miasta. Potem zebrać kilku chłopaków i zrobić tam szturm. Wejść jak do siedziby Kaddafiego. Ale podobno będzie lepiej, niedużo ale lepiej. Lepiej będzie się żyło – wszystkim, jak brzmiało niegdyś głośnie hasło przedwyborcze jednej z czołowych polskich partii politycznych. Wierzę w to ślepo więc odpuszczam szturm. Rozwścieczony, bo w portfelu mam nieco ponad trzy złote i listę zakupów. Wszyscy dookoła mi mówią: dobrze że jedziesz. Bóg kieruje każdego w najrozmaitsze strony, mnie nie oszczędził tułactwa.

22:50

Jadę w pociągu do Wrocławia. Mimo wykupionej miejscówki wolę stać w oknie. Uwielbiam jeździć pociągami. Od dzieciństwa podróżowałem koleją do Leżajska, Starego Sącza czy Piwnicznej Zdroju. Przy okazji kilka razy dziennie mijaliśmy przejście graniczne w słowackim Mniszku, celem nabycia piw, musztard „Horcice”, czekolad „Studenckich” i wielu innych słowackich smakotyków w dobrej cenie. Jeździliśmy co tydzień do Krakowa zwiedzać zabytki, do Opactwa w Tyńcu podyskutować z benedyktynami, czy do Kalwarii Zebrzydowskiej na dni młodzieży franciszkańskiej. W Kalwarii występowaliśmy z zespołem. Plusem były darmowe wyżywienie i dobra zabawa, minusem zaś potajemne picie wódki w nocy i kac nie do opisania. Ale to były wycieczki rekreacyjne. Takie kawalerskie, połączone z graniem na gitarze i przyjemnościami.

Stoję w oknie żeby nie zasnąć. Lubię ten specyficzny wiatr we włosach. Pasażerowi koło mnie dzwoni komórka, a z niej wydobywa się rozchwytywany niegdyś utwór „Highway to hell” Rolling Stones’ów. Mam nadzieję, że tytuł dosłownie mnie nie dotyczy. Czuję się coraz gorzej. Chciałbym być już w tym busie do Belgii i po prostu spać. Z resztą nieważne gdzie ale spać. Wczoraj nie mogłem zasnąć. Większą część nocy spędziłem patrząc w gwieździste niebo i rozmyślając.

Chyba za dużo myślę. Może w ogóle nie powinienem myśleć. Po prostu się wyłączyć jak panowie miśki co wracają z Niemiec do swych słodkich żon na święta Bożego Narodzenia. Kupują farby i gres w promocji świątecznej do urządzenia domu. A po świętach ruszają znowu za granicę do pracy. Zarobić na kolejne inwestycje ku zadowoleniu wszystkich. Bo w Polsce miśki by siedział i złościł się że mało zarabia i nic sobie nie może kupić. A tak to nie będzie się szwendał w jakiejś marnej robocie, kasę wyśle, chałupę wykończy. A i żona złapie oddech, zatęskni za swym bohaterem i choć trochę upodobni się do bogatych, zachodnich żon. Czasem miśkowi zdarzy się zboczyć z drogi. Wtedy wraca też do

Niemiec z załącznikiem codziennego chłania wody z kumplami, imprez i nocnych wypadów na miasto lub do jakiejś przyjaciółki. Wtedy też wszyscy rozmyślają o tacie. Tacie – Herosie, dla którego dzieci w szkole układają wierszyki, śpiewają piosenki, tworzą laurki i go malują. Z czasem taki dzieciak nie będzie się prosił o zabawy w karuzelę i wygłupy z tatą, bo ten woli inne zajęcia. Woli swoje wygłupy bo są bardziej atrakcyjne, a przy tym też jest herosem. Same plusy.

Wylałem prawie pół piwa, bo nie dam rady go dopić. Piję codziennie od tygodnia, żeby zapomnieć o wyjeździe i opuszczeniu rodziny. Wsłuchany w stukot pędzącego pociągu zadaję sobie odwieczne pytanie emigrantów zarobkowych: Dlaczego nie można żyć tutaj i zarabiać jak tam? Zachód miesza ludziom w głowie. Słyszysz się tu i ówdzie o osobach które po powrocie z zagranicy nie mogą odnaleźć się w nowej, polskiej rzeczywistości. Tacy ludzie będąc na zachodzie tęsknią za krajem, a gdy już do niego wrócą, popadają w depresję.

Koło mnie stoi wysoki facet w średnim wieku w katanie modnej w latach dziewięćdziesiątych, za czasów Wałęsy. Pije piwo za piwem wpatrzony w okno pędzącego pociągu. Dzierży przy piersi jakąś małą torbę. Może wraca z pracy? Wygląda na zamyślonego. Pewnie zastanawia się nad swoimi sprawami. Powinien mieć już wypłatę na koncie, w końcu jest ósmy wrzesień. Nie ma nic gorszego dla męża i ojca jak mieszkanka problemów finansowo – rodzinnych.

Im dalej jadę, tym bardziej mnie drze żeby wyskoczyć z pociągu jak Zbyszek Cybulski w jednym z filmów. Pewnie dlatego że najbardziej żał mi dziecka. Ostatnio z Sandrą spędzałem dużo czasu. Czy mocna więź z dzieckiem jest czymś złym? Czasem wydaje mi się że tak. Przecież misiek ma być twardy, a od bawienia dzieci są baby. Może tak powinno być. Kiedyś pewien kapucyn w Sędziszowie Małopolskim prowadził ciekawe zajęcia na różne życiowe tematy. Pewna sentencja utkwiała mi w głowie, mianowicie: „świat produkuje ludzi chorych psychicznie, bo nieustannie próbuje odwrócić odwieczny porządek przyrody który stworzył Bóg”. Dość przemyśleń. Przysypiam przy oknie dzięki rytmicznemu turkotowi kół od pociągu. Do tego piwo i późna pora. Czuję, że im dalej od Tarnowa tym gorsze powietrze. Pilnuję się siłą by nie zasnąć.

23:00

Postój w Trzebini. Dwóch zniszczonych facetów pali tanie papierosy w oknie. Duszący dym czuć w całym przedziale. Niedobrze mi od tego. Wychyliam więc głowę przez okno najbardziej jak to możliwe, by zaciągnąć świeżego wiatru i uniknąć wymiotowania. Z resztą i tak mnie żona nie widzi więc mam prawo się upodlić jak świnia.

Istotą tego że tu jestem jest forsa. Oby można było zarobić na tych pietruszkach. Za rodziną też przyjdzie czas zatęsknić. Na razie za wcześnie. Najśmieszniejszy jest fakt, że tak naprawdę nie wiem dokąd jadę. Przecież mogą mnie tym busem wywieźć na przykład gdzieś w głąb Holandii, wyciąć organy a resztę zakopać. W lepszej wersji wydarzeń mogę trafić do jakiegoś obozu pracy za miskę zupy dziennie. Nie myślę – jadę.

Biedna Sandra. Kto z nią będzie się kręcił naokoło? Albo tańczył Olimpiadę w Jarzynowie? A Patrycja jak się ogarnie w nowych realiach? Tak w ogóle to nienawidzę pożegnań. Ciarki mnie przeszły jak zobaczyłem splakaną Patrycję z wiatrem we włosach na drugim peronie. Mówiłem jej przez okno w pociągu: patrz na kasę a nie na chwilowe rozstanie. Ale wewnątrz krew mnie zalewała i jakaś bliżej niekreślona siła ciągnęła mnie do zmiany decyzji. Chyba każdy tak ma, choć wiele osób cieszy się świętym spokojem od rodziny i dzieci. To działa również w drugą stronę. Żona też się cieszy, bo misiek wyjedzie, wyśle kasę, pójdzie z nią do restauracji na Wielkanoc lub we Wszystkich Świętych, kupi dzieciakowi duży karton Lego w hipermarkecie, posiedzi dwa tygodnie tylko nie w domu, bo ten go wkurza. Kojarzy mu się ze skarbonką bez dna, na którą musi harować. Najlepiej w terenie neutralnym, gdzieś w górach lub nad morzem. I to koniecznie z kumplami. Popije wody, wyda kasę z kantoru po czym wróci do siebie. Ciekawy, nowoczesny model rodziny, podlegający nieustannym modyfikacjom. Ku „lepszemu” życiu dla wtajemniczonych i ku przestrodze dla narzeczonych.

Nienawidzę żegnać się z dzieckiem. Robię to szybko na zasadzie całusa i ucieczki. Gdy nadchodzi godzina wyjścia z domu, ubrania butów i wzięcia dwudziestokilowej torby z prowiantem i ubraniem zaczyna się przedstawienie. Żona mówi do córki by ta mnie przytuliła bo może mnie widzieć po raz ostatni, mnie dusi w gardle i chce mi się ryczeć, córka za bardzo nie wie o co chodzi, choć widać że się denerwuje, żona patrzy w okno, po czym z głębokim, splakany oddechem idzie mnie pożegnać. Kurwa mać! Jakbym na wojnę jechał. Dlatego im krócej tym lepiej. Wychodzę z domu i idę na dworzec. Na piechotę. Wtedy najlepiej sprawdza się długi spacer i głębokie oddechy. W karate Kyokushin operacja ta nosi japońską nazwę Nogare, czyli oddech przez przeponę. Używany zarówno w walce jak i podczas odpoczynku. Podczas kontaktu z przeciwnikiem nogare chroni żołądek, wyrównuje tempo uderzeń serca, zmniejsza zmęczenie. Nogare. Idealna technika oddechu na spacerze zarówno dla początkujących jak i zaawansowanych emigrantów. Doskonale tłumi negatywne uczucia i łagodzi zdławione z płaczu gardło.

23:18, Jaworzno, Ciężkowice

Pociąg przyspieszał i przewiało mnie gdy wychylałem się przez okno. A choremu raczej nie wypada mi tam zajeżdżać. Ponownie zakładam kurtkę. Wcześniej ściągnąłem ją celowo, gdyż włączone ogrzewanie w pociągu należy do sprzymierzeńców zmęczenia i zasypiania. Do tego nocny kac piwny. Czuję się słabo więc idę usiąść. W moim przedziale siedzi siedem osób. Wtrącam się pomiędzy nich jako ósmy i jednocześnie drugi od okna. Moje miejsce nr 94 jest zajęte przez panią blondynkę z laptopem na kolanach i tatuażem na szyi. Naprzeciwko mnie z rozwartymi ustami śpi starszy facet z wąsami. Zdaje się że prawie wszystkich sen potraktował niemiłosiernie. Tylko starsza pani z siwymi, kręconymi włosami wykorzystuje ostatnie zdaje się krzty energii, zgłębiając tajniki kolorowego Harlequina. Jakis pan walczy ze snem przymykając co chwilę oczy wpatrzone w czarne, zamknięte okno. Dusi między nogami puszkę napoju energetyzującego. W naszym przedziale jest duszno jak na sumie w środkowych ławkach kościoła w upalny, czerwcowy dzień. Do tego fektor aldehydu octowego unoszący się w naszym, wspólnym powietrzu wymieszany z całodziennym potem. Kolega w średnim wieku siedzący koło mnie próbuje załatwić ogólnie śmierdzącą sprawę przy pomocy dezodorantu w kulce. Zdaje się być jednak trochę za późno. Wyobrażam sobie następującą scenę: wchodzi konduktor i mówi: „zapraszam państwa na zewnątrz naszej konserwy z uwagi na obowiązkowe jej wietrzenie”.

23:55, Mysłowice

Gdzie jeszcze do Wrocławia! Wyszedłem z przedziału bez kurtki i idę pomarznąć w oknie celem zmniejszenia sennego głodu. Czuję, że mój organizm wpada w rytm nocny. Objawy wskazujące to przyspieszony rytm serca i powiększone źrenice. Na stacji w Mysłowicach wszedł dwóch Ukraińców. Zapici ostro, krzyczą coś do siebie, palą w oknie. Zdaje się że kłócą się o dłuższy pobyt na terenie Polski. Odwrotny przypadek do mojego. Bo ja chcę uciec z Polski, a oni walczą o Europę i możliwość zatrudnienia choćby w naszym kraju.

0:08, Katowice

Jesteśmy na dworcu w Katowicach. Jest ohydnie brzydko. Wszędzie ciemno, w dodatku pełno charakterystycznych dla tego rejonu domów z czarnej cegły. Potęgują one złowrogi - zdaje się - klimat tego miejsca. Zastanawiam się jak ludzie tutaj mogą mieszkać? Na brudnych ulicach ze śmierdzącym siarką powietrzem z dala od łąk i lasów. W imię demokracji każdy jednak ma prawo mieszkać gdzie mu się podoba. Przysypiam i jednocześnie staram się czuć w oknie, bacznie obserwując antyczne budowle byłego Stalinogrodu.

3:10, Wrocław Główny

Ładny, odnowiony dworzec we Wrocławiu. Z pewnością podoba się wyspanym. Wreszcie wysiadłem z pociągu. Nareszcie więcej powietrza i „coś” się dzieje. Idę środkiem oświetlonego tunelu, mijając ludzi leżących na plecakach. Marzę o siedzeniu w busie i zasypianiu. Niestety, muszę czekać na umówiony telefon. Ktoś ma się do mnie odezwać gdzieś o świcie. Siadam więc na ławce i żeby zająć się czymkolwiek, otwieram paczkę z prażonym słonecznikiem. Wewnątrz dworca jest ciepło w związku z czym oczy kleją mi się do snu. Od godziny wpół do czwartej do szóstej trzydzieści gniłem na wrocławskim dworcu przyklejony do bagażu, oglądając się na miejscowych lumpów. Kilka razy wyszedłem się przewietrzyć celem zmarnięcia przeciwnego. Po tym czasie zadzwonił wyczekiwany telefon.

GO WEST

Jakiś męski głos w komórce kazał mi iść na dworzec autobusowy. Stamtąd o godzinie siódmej wsiadłem do niewielkiego busa, wraz z jakąś tęgą kobietą w wieku około lat trzydziestu. Jeździmy po ulicach Wrocławia zabierając kolejne osoby. Na jednej z nich wsiadła jakaś pani w wieku około lat czterdziestu. Czekaliśmy koło jej domu prawie dziesięć minut dzięki zaryczanym dzieciom, które nie chciały jej puścić. Ale w końcu wymykając się im, wskoczyła do naszego busa. Chwilę po tym spektaklu, zostaliśmy wywiezieni na obrzeża miasta. Widok czarnych, ponemieckich domów wraz z deszczową pogodą podkreślają niezbyt przyjemną aurę. Zatrzymujemy się i zabieramy następną panią. Okazuje się, że obie się znają, gdyż od razu zaczęły gaworzyć. Po drodze wsiada jakiś chłopak w wieku około dwudziestu lat. Po blisko półgodzinnej jeździe zatrzymujemy się na stacji benzynowej, celem rozprostowania kości. Chłopak częstuje papierosem i choć nie palę, nie odmówiłem. Okazuje się, że również jedzie do Belgii ale w inny rejon. Oprócz torby z ubraniami i prowiantem wziął gitarę i osiem piw. Podczas krótkiej wymiany zdań wyszło, że nowo poznany przeze mnie kolega jest kawalerem. Nie zamierza się również żenić, ani żyć i pracować w Polsce. Na pytanie dlaczego, zaśpiewał mi piosenkę o następującej treści:

*Wyjechałem za chlebem, wyjechałem za wolnością,
wyjechałem za szmałem, wyjechałem, bo zmądrzałem.
Wkurzyli mnie już wszyscy i nie wiem jak tu żyć,
kopią mnie po dupie i każą tylko śnić!
Nie chcą mnie już znać w kochanej mej Ojczyźnie.
A ja Was mam gdzieś, bo tutaj jest mi lepiej i kropka.*

*Wyjechałem za chlebem, wyjechałem za wolnością,
wyjechałem za życiem, wyjechałem za byciem.*

*Wszyscy moi bliscy już nienawidzą mnie,
nawet Ci z Kościoła tak mówili że:
będziesz jak wygnaniec wiecznie naburmuszony,
A ja mam Was gdzieś i niech Wam Bóg wybaczy, oszuści!*

Niesamowite ile złości może być w ludziach do ludzi. Wynika to pewnie z ogólnego nastawienia, wpływu mediów na opinię publiczną jak również serii niepowodzeń życiowych skłaniających poszczególnych członków społeczeństwa do opuszczenia kraju. Tak pewnie było w przypadku tego chłopaka, który wini religię chrześcijańską za błędy księży, ubarwiane za pomocą środków społecznego przekazu. Tego wrażliwego gościa oszukał jakiś ksiądz któremu zaufał. Mówił, że to kolejny jego wyjazd za granicę, następny wiążący się z tęsknotą za krajem. Marcin podkreślił, iż chciałby postawić „kropkę” w swoim życiu i zamieszkać w Belgii na stałe. Nie może się jednak zdecydować, jest rozdarty, ciągnie go do Ojczyzny w której twierdzi, że nic go dobrego nie czeka. Ale to jego sprawy, moje są teraz gdzie indziej. Jedyne o czym myślę to błogi sen. Próbuje więc to uczynić wtulając głowę w bluzę. Ciężko jest zasnąć gdy Marcin trąca mnie i częstuje piwem, ze swego wypchanego po brzegi podręcznego plecaka. Niedobrze mi na sam zapach ale biorę by szybciej zasnąć. Kolega odkłada gitarę na tylne siedzenie busa, po czym włącza muzykę ze smartfona. Za chwilę leci „Ace of Spades” osławionego niegdyś zespołu „Motorhead”. Już wiem że nockę będę miał wyciętą z życiorysu.

Tęga koleżanka która wsiadła ze mną na dworcu w dawnym Breslau także pije. Wrywa się nagle i przekrzykuje ryczącego w komórce Lemmy' ego Kilmistera. Rozpoczyna opowiadać swą krótką historię czasu (nie tą Stephena Hawkinga). Otóż jedzie z nami bo ma bliżej nieokreślone długi, które ją „ścigają”. Pewnie chce je szybciej spłacić. Upadła jej firma franchisingowa, sklep. W tej mieszaninie łomotu rozumiem wszystko przez pół ale sprawiam wrażenie uważnie słuchającego. Zamykają mi się oczy i czuję się coraz gorzej zwłaszcza wtedy, gdy gość siedzący za sterami naszej łajby ścina zakręty.

Pani od ściskających, zaryczanych dzieci siedzi z przodu z koleżanką. Obie płaczą gorzej od mojej córki gdy usłyszy słowo „nie”. Zagaduję jedną z nich mówiąc, że to krótki wyjazd a pieniądze się przydadzą. Otarła łzy i przechyliła do ust małą kolorową butelkę likieru. Odpowiedziała mi że zawsze tak jest. Zawsze, to znaczy co trzy miesiące. Trzy miesiące w Polsce, trzy w Holandii. Dobrobyt w Polsce, bieda i oszczędzanie

na zachodzie. Taka odwrotność do realiów. I tak w kółko, bo mąż traci czas u jakiegoś prywaciarza, który zwleka z wypłatami pensji, wykorzystując go na różne sposoby. Żona i dzieci płaczą, bo chcieliby być razem, ale trzeba się zdecydować i postawić na jakiś pomysł. A dzieciaki mają się przyzwyczaić, popłaczą i przestaną. Przecież żyjemy w dobie postępu technicznego i kamerek internetowych. Koleżanka płaczącej pani przyłącza się do dyskusji mówiąc, że z dziećmi żegna się wieczorem kiedy idą spać. Najprościej ujmując mówi im dobranoc, daje buziaka w czoło i ma święty spokój. Późnym wieczorem pakuje wyszykowany wcześniej bagaż i rano jej już nie ma. Dzieci nawet nie wiedzą, że gdzieś wyjeżdża. Biedne eurosieroty. Ale Pani nie widzi innych perspektyw. Robi tak żeby uniknąć mało przyjemnej atmosfery związanej z wyjazdem.

W dzieciństwie miałem koleżankę która mieszkała w pobliskiej wsi. Jej matka często wyjeżdżała do Niemiec. Nie zapomnę, jak ze łzami w oczach zadawała każdemu pytanie w stylu: „*kiedy przyjedzie mama*”. A mama zbierała ogórki w Niemczech leżąc brzuchem na deskorolce. Gdy wracała do Polski to zajmowała się wykończeniem domu, kupowała mnóstwo prezentów za ówczesne marki. Szydziła przy tym ze swojego męża harującego w rodzimym kraju za przysłowiowe grosze. Wracając jednak do mojej koleżanki, to nauczyła się żyć bez rodziców, ale za to z babcią. Dziś podtrzymuje zdanie, że nigdy nie potrzebowała i nie potrzebuje matki i ojca.

Na obrzeżach Wrocławia wsiada jakiś facet w wieku koło czterdziestki. Zdaje się być przeszkolony w powyżej rozważanym temacie, gdyż daje krótkiego buziaka swojej kobiecie i dwóm machającym rękoma dziewczynkom. Następnie z zapalonym papierosem energicznie wsiada do naszego wozu. Nikt łącznie z kierowcą nie protestuje wdychania dymu. Kolega Marcin od piwa i gitary błaga kierowcę o chwilowy postój. Kierowca twierdzi, że zatrzyma się za piętnaście minut. Widać że kolega nie czuje się dobrze i ponawia swoją prośbę, po czym wymiotuje do kaptura od kurtki.

Nawet nie wiem, kiedy zasnąłem? Obudziłem się w lesie. Pani jadąca z koleżanką do Holandii twierdzi, że jesteśmy w Zgorzelcu. Ładnie tu, naokoło las i rzeka - granica dzieląca Polskę od Niemiec. Tych samych Niemiec, z którymi bijemy się regularnie w miarowych odstępach czasu, od początku istnienia Polski. Teraz my pchamy się do nich do roboty, choć patrząc po ostatnim stuleciu, miało być odwrotnie. Bo to oni przegrali dwie wojny z rzędu, a nie my. Kiedyś mój znajomy Austriak wytłumaczył mi, dlaczego w Niemczech zawsze będzie lepiej takimi słowami: „my mamy poukładany system, bo nikt nie ma czasu na klótnie. Za to wy się nienawidzicie i przez to macie wiecznie chorą gospodarkę”. Bez komentarza.

Stoimy niedaleko starych opuszczonych, poniemieckich ruin. W niedalekiej odległości jest ich trzy. Kierowca posiłkujący się nawigacją nagle wyciąga mapę. Otóż okazało się, że urządzenie elektroniczne wyrzuciło nas w złą drogę. Jedziemy jeszcze kawałek, po czym znów przystajemy. Kierowca rozmawia z kimś przez telefon. Zapewne chodzi o dotarcie do kolejnej osoby którą mamy zabrać. Po dwudziestu minutach powolnej jazdy w lesie nagle kierowca ogłasza postój. Wsiadamy więc z auta by się przewietrzyć i rozprostować kości. Widok podobny do scen z filmu „Blair Witch Project”. Otóż jesteśmy w środku lasu a obok nas stoi czteropiętrowy blok, w którym mieszczą się dwie klatki schodowe. Okazuje się że w domu tym, zwanym osadą leśną, mieszka kilka rodzin. Wrzesień to sezon grzybowy więc biega tu kilkoro dzieci i dorosłych z koszykami pełnymi owoców lasu. Jakiś chłopczyk podbiega do nas z pytaniem czy nie chcemy kupić od niego grzybów. Zapewnia przy tym, że są smaczne i nie trują. Z uśmiechem podziękowaliśmy za propozycję. Chwilę później z bloku wychodzi jakaś siwa pani koło sześćdziesiątki wraz z mężem. Na pierwszy rzut oka starszy, szczupły gość z dużymi wąsami wygląda na przepitego alkoholem. Albo patrząc realiami polskimi, jego image zdradza zniszczenie pracą. Facet pakuje dwie ogromne torby do bagażnika ujawniając nam, że w jednej ma jedzenie, a w drugiej ubrania. Myślę sobie: ekstra. Oni mają torbę z prowiantem, a ja dwie kanapki z serem żółtym. Podobno wszystko mam się dowiedzieć na miejscu. Starsze państwo zostało przywitane gromem pretensji. Wszystko za niewłaściwe wskazanie drogi przez co błędziliśmy w lesie blisko godzinę. Konflikt został jednak szybko zażegnany. Ruszamy więc przez las w kierunku granicy na Nysie Łużyckiej. Jadąc autostradą przez Niemcy nie dzieje się nic. Część osób przysypia lecz ja nie mogę zasnąć. Patrząc w okno próbuję coś zwiedzić. Podziwiam więc ogromne białe wiatraki na zielonych polach i nowe niemieckie auta pędzące szeroką autostradą.

Blisko cały dzień jedziemy w kierunku Holandii. Na holenderskiej stacji paliw mieliśmy punkt przeładunkowy, który w zasadzie nas nie dotyczył. Ludzie wymieniali się wysiadając z jednego busa i wsiadając do innego. W Holandii jest dużo małych, przydrożnych kapliczek i wiatraków. Zaraz za stacją z naszego wozu wysiada pan w średnim wieku. Kilka minut później ewakuują się dwie znajome sobie panie. Obydwie udają się do jednego gospodarstwa, ogromnego sadu jabłkowego. Późnym wieczorem wjeżdżamy do Belgii. Podczas krótkiej rozmowy okazało się, że starsze małżeństwo, tęga pani i ja zmierzamy do jednego miejsca pobytu.

NA MIEJSCU

Holandię minęliśmy w ekspresowym tempie. Najdłużej jechaliśmy niemiecką autostradą. Zamrozonego piwami Marcina wysadziliśmy po ciemku w jakiś szczyrych polach. Jedyne co zdołał nam powiedzieć to zdanie, iż pracuje w gospodarstwie rolnym zajmując się zwierzętami i robotą w polu, za dziesięć euro za godzinę. Pożyczyliśmy sobie po polsku: „trzymaj się, powodzenia”, po czym ruszyliśmy w dalszą podróż. Nasuwa mi się pytanie: Czemu ma służyć wyżej wymieniony zwrot. Niemcy żegnają się wołając: „tchuss!”, Anglicy: „bye”, Francuzi: „adome”. Polacy żegnając się słowami: „trzymaj się”, pragną innymi słowy zaznaczyć: nie załamuj się, walcz w naszej codziennej rzeczywistości.

09.09.2012, Bovesse, Belgia

Na miejsce naszego pobytu zajechaliśmy o godzinie 22.30. Kierowca wysadził nas (mnie, starsze małżeństwo i tęą panią), w jakiejś ciemnej ale spokojnej ulicy. Wokół pełno domków postawionych szeregowo. Mimo że mrok ogarnął doszczętnie wszystko, to jest tu inaczej jak na polskiej wsi. Nasza wieś mimo swej biednej głuchoty ma swoje ujadające psy, które nieustannie wołają o lepszy byt swój i swoich właścicieli. Około pół godziny marzniemy w polu, przysypiając na stojąco po męczącej podróży. Wreszcie podjechał zielony citroen z którego wysiadł siwy Belg, w wieku koło sześćdziesiątki. Przywitał się z wszystkimi po kolei, choć nikt z naszego towarzystwa nie umiał mówić po francusku. Zapytałem go czy mówi po angielsku, na co przecząco wzruszył ramionami. Dowiedzieliśmy się tylko że ma na imię Jacques oraz że pokaże nam gdzie będziemy nocować. Pytał również czy ja i Grażyna (tęą pani) jesteśmy parą, bo pokoje są dwuosobowe, w dwóch oddzielnych domach. Następnie Jacques odjechał wraz z małżeństwem, po czym wrócił po nas. Po chwili byliśmy na miejscu.

Drzwi piętrowego domu z poddaszem otworzył nam wysoki, szczupły facet, w wieku koło trzydziestki. Od razu przedstawił się imieniem Andrzej. Weszliśmy po schodach od strony tarasu. Po chwili przywitała nas szczupła, niska blondynka o imieniu Sylwia. Miała na sobie biały szlafrok i paliła cienkiego papierosa trzęsąc się bodajże z zimna. Pierwsze pytanie jakie od niej usłyszeliśmy brzmiało w stylu: „co tu w ogóle robimy”. Następnie oznajmiła nam, że szefowa co dwa tygodnie zwalnia osoby które jej nie odpowiadają, po czym odsyła do Polski. Twierdzi również, że operacja ta dzieje się na koszt przyjezdnych. Andrzej szybko uspokaja sytuację twierdząc, że Sylwia przesadza. Poszli-

śmy wszyscy na balkon, celem bliższego poznania przy papierosie. Następnie po męczącej podróży spełniło się moje marzenie: dostałem pokój do spania. Miał on około dziesięciu metrów kwadratowych, komodę i łóżko składające się z dwóch części. Najbardziej jednak spodobało mi się okno na poddaszu, przez które widać piękne gwiazdozbiory. Wydaje się że o tej porze roku najbardziej widoczne są dwa z nich: Orion i Duży Wóz. Na mojej pryczy znalazłem pościel i poduszkę. W pokoju jest zimno. Pewnie od silnego, jesiennego wiatru.

Istnieje duża różnica w wiatrach. Ten zachodni jest ciepły i zdaje się smakować lepiej. Jest przesycony smakiem przydrożnych fast foodów i przegrzanym olejem z frytek. Jak mawiano dawniej: taki zachodni, taki zgniły. Z kolei nasz wschodni wiatr jest chłodny, skojarzony z nocą, nostalgia państwową i głuchą ciszą we wsi. Wiatr czysty i skłaniający ku refleksji. Taki wiatr może być mniej lubiany przez ogół społeczeństwa zachodniego, pragnącego zapomnieć o czymkolwiek co może skłaniać do przemyśleń. Wiatr wschodni jest trudniejszy do wdychania, ale pomaga utrzymać tożsamość narodową. Ku refleksji.

Idę spać w polarze. Niestety okazało się, że mieszkanie na poddaszu liczy dwa pokoje z kuchnią i łazienką. Oznacza to, że w jednym mieszka Sylwia z Andrzejem, a w drugim ja wraz z Grażyną, tęszą panią z naszej zawiadowczej wycieczki. Mojej żonie z pewnością by się takie rozwiązanie nie spodobało. Ale nie będę jej nic mówił, żeby jej nie drażnić. Rozdzieliłem więc łóżko na dwie części. Swoją zostawiłem na miejscu, zaś koleżanki odsunąłem na przeciwną stronę pokoju. Wrażenia z podróży zmęczyły mnie doszczętnie. Nie myłem się, nie jadłem nic. Około godziny pierwszej zerkając resztkami sił w oku na gwiazdziste niebo, zapadłem w głęboki sen.

NOUS ALLONS AU TRAVAIL

O godzinie trzeciej w nocy obudziłem się nagle. Serce łomotało mi z racji tylu wydarzeń i zmian. Po pewnym czasie zmęczenie zrobiło swoje i zasnąłem ponownie. Pobudkę zrobił mi Andrzej o godzinie piątej trzydziści rano. Po szybkiej toalecie, wyszliśmy w czwórkę: Grażyna, Sylwia, Andrzej i ja, zameldować się w pracy. Dojście na miejsce zajmuje nam około dziesięciu minut. W pracy jesteśmy o godzinie szóstej. Mam na sobie ubranie z „wycieczki” i trochę boli mnie głowa.

Na hali produkcyjnej jest wylana woda po kostki. Płyne ciągle, z dwóch pryszniców umiejscowionych przy wejściu. Za nimi mieści się nieduży magazyn z zafoliowanymi pietruszkami gotowymi do wyjazdu oraz z artykułami sklepowymi właścicielki. Na środku głównej hali jest umiejscowiona długa taśma, przy której stoi około sześciu osób. Wszyscy

ubrani w zielone, nieprzemakalne fartuchy w żwawym tempie składają pęczki pietruszek. Jedna osoba stoi na końcu taśmy, odbierając złożone, zwinięte gumką pęczki gotowe do spakowania. W oddzielnej sali mieści się maszyna do foliowania pojedynczych pęczków pietruszki. Usiadłem w rogu przy stole, jako nowy pracownik. Po chwili na hali pojawiła się madame Alice, właścicielka gospodarstwa. Wysoka brunetka ze słonecznym uśmiechem na twarzy powiedziała wszystkim bonjour. Stałem przy taśmie przez dwie godziny i składałem pęczki z pietruszek. Sylwia stojąc po drugiej stronie taśmy oceniała czy dobrze wykonuję swoją pracę. Od początku czułem, że wiele może zależeć od jej zdania bądź co gorsza od jej prywatnego „widzi mi się”.

Niestety sprawdziła się ta druga, mniej obiektywna opcja. Zauważyć to można było po przykładzie starszego małżeństwa. Już na wejściu zostali odrzuceni przez resztę Polaków, którzy za wszelką cenę starali się ukazywać niechęć wobec nich. Nie mogę pojąć dlaczego tak jest. Wczorem próbowałem się nad tym zastanowić. Może odrzucili ich przez wygląd, rejon pochodzenia, akcent? Jedno jest pewne: tu również mówi się o tym, że Polacy za granicą są chamscy względem siebie i nie pomagają sobie nawzajem. Do tego rywalizują z sobą oceniając wyniki w stylu: kto pierwszy wyleci z pracy. Czuję, że wiele zależy od wkupienia się w tutejsze towarzystwo tylko po to, żeby nie odstawać. I tak z przyjezdnymi ja i Grażyna zostaliśmy zaakceptowani, Maria i Jan - nie. Wniosek dla Sylwii był prosty: moje pęczki są dobrze wykonane, starszego małżeństwa nie. Dodatkowo dla mnie uśmiechnięta i życzliwa blondynka próbuje gestami i łamanym francuskim skreślić dwoje ludzi ze Zgorzelca. Madame Alice wydaje się tak jej ufać, że wsłuchuje się w jej mowę kiwając głową.

O godzinie ósmej ja, Andrzej, Denis i Abdur Rahman (Belg i Marokańczyk pracujący na stałe) wyruszyliśmy w pole. Na miejscu końca nie widać szerokiego pasma pola porośniętego pietruszką. Są jej dwa rodzaje: frezee – ozdobna i plat – zwykła jak w polskich jarzyniarkach. W polu Andrzej próbuje nawiązać dyskusję z Abdurem Rahmanem po francusku, ale kiepsko mu to wychodzi. Najskuteczniejszym sposobem porozumiewawczym zdaje się być pewien rodzaj migów i gestykulacji. W polu trzeba pracować szybko. Każdy z nas znalazł sobie kawałek miejsca, zajmując po trzy grządki. Następnie należało się pochylić i małymi kroczkami przesuwając się do przodu celem ścinania pietruszki. Głównym narzędziem pracy jest tutaj nożyk i oselka. Ścięty kawałek układa się w koszach naprzemiennie tak, aby łatwiej było z niego układać pęczki. Upał jest dość mocny jak na tę porę roku, a ja nie wziąłem nic do picia. Po czterech godzinach pracy wróciliśmy znów na halę, po czym

odesłano mnie do produkcji pęczków. Wszyscy uczestnicy zdają się na siebie patrzeć spod oka. Każdy na każdego. Jedni sprawdzają jakość, inni prędkość robionych pęczków. Około godziny piętnastej pojechaliśmy na przyczepie zaciągniętej do traktora na ponowne ścinanie pietruszki. Wieczorem wypilem jednym haustem piwo które zostało mi z podróży i dzbanek wody z kranu po czym zasnąłem.

Nazajutrz zaczęliśmy pracę od czyszczenia dyń i pakowania ich do skrzynek. I tak cały dzień. Od godziny szóstej do osiemnastej. W naszym domu na parterze mieszka Rosjanin, Siergiej. Widać w nim życzliwego człowieka. Siergiej urodził się na Syberii. Lubi opowiadać o „kitajcach” (rdzennych mieszkańcach krańcowych terenów Sybiru) i łowieniu ryb w tamtejszych rzekach. Jako dziecko handlował nimi przy drodze. Siergiej ma pięćdziesiąt pięć lat i jest rozwodnikiem po zawale. Ma drugą żonę, która siedzi w Portugalii i tam wychowuje jego trzynastoletnią córkę. Gdzieś w środku tygodnia ten otyły Rosjanin przyniósł nam chleb i ser ementaler. Na moje skromne zapasy to był rarytas. Siergiej twierdzi, że kościoły są tu tylko protestanckie i żeby się pomodlić wstaje co niedzielę o czwartej rano. Następnie rusza w kierunku Brukseli, gdzie mieści się cerkiew prawosławna i kościół katolicki.

Bovesse to podobno najbiedniejszy rejon Belgii. Dla mnie słowo „biedny” kojarzy się z patologią gdzieś na polskiej wsi, gdzie większość jej mieszkańców myśli jak przeżyć do jutra w miarę godnie i najtańszym kosztem. W tej sytuacji jedyną pociechą na lepsze jutro zdaje się być znieczulenie psychiczne za pomocą alkoholu. W Belgii widzę same nowe auta, uśmiechniętych spacerujących ludzi witających mnie pozdrowieniem „bonjour”. To jest najbiedniejszy rejon Belgii. Ku refleksji.

15. 09.2012, sobota

Z samego rana Siergiej zabrał mnie, Andrzeja, Sylwię i Grażynę na zakupy. Wszyscy na koniec tygodnia dostaliśmy po pięćdziesiąt euro zaliczki na zakup podstawowych potrzeb. Pojechaliśmy do dwóch bodajże najbliższych i najtańszych magazynów: Lidla i Colouryt. W drugim można degustować się winem do woli. Wiele osób przychodzi tam głównie po to, by się za darmo napić. Grażyna zaproponowała mi, że jeśli już mamy mieszkać razem, to może będziemy robić wspólne zakupy. Zgodziłem się na ten pomysł, proponując listę najpotrzebniejszych rzeczy. Dodatkowo stwierdziła że będzie gotować i przygotowywać wspólne jedzenie do pracy. Przystałem na tę propozycję, choć nie odpowiadała mi ona do końca. Dziwnie się czułem, gdy obcy dla mnie człowiek ma wykonywać pewne czynności, należące przecież do żony. Po namowach ze strony domowników zgodziłem się. Z mojej strony zakupy były proste.

Wyjeżdżając „na eksport” liczyłem się z zaciśnięciem pasa. Dodatkowo trzeba liczyć praktycznie cały dzień w pracy. I tak na siedem dni miałem w planie kupić: dwa chleby, kilogram sera emmentaler (który uwielbiam, a jak na tutejsze zarobki jest prawie za darmo), pięć puszek z makrelą w oleju, trzy opakowania szynki stu gramowych, paluszki rybne, osiem piw, opakowanie mrożonych frytek, herbatę miętową, mydło i sześciopak wód mineralnych. Moją listę zamykały takie towary jak: kilka jabłek, dwa pomidory, gilzy papierosowe i małe opakowanie francuskiego tytoniu. Razem zakupy wyniosły mnie w granicach 20–25 euro. Z prostego rachunku zostawało mi w kieszeni około trzydziestu euro. Taki przynajmniej miałem zamiar. Stało się jednak inaczej. Andrzej i ja wróciliśmy późno z pola, dziewczyny skończyły wcześniej. Doszliśmy wspólnie do wniosku, że Grażyna i Sylwia pojadą z Siergiejem na zakupy. Dałem więc moje pięćdziesiąt euro Grażynie i parę propozycji odnośnie zakupów. Osobniki płci męskiej mieli w międzyczasie posprzątać mieszkanie. Mimo mojej prośby Grażyna kupiła wszystko według własnego gustu, wydając ponad sto euro. Nietrudno się domyślić, że zapożyczyła się przy tym u Sylwii także na mój koszt i bez mojej wiedzy. Niestety życie w naszej małej komunie spaliło się dość szybko.

Wieczorem codziennie palimy papierosy na balkonie. Palimy dużo, bardziej z nudów niż z nałogu. Zastanawiamy się nad tym co tu robić innego poza pracą, spaniem, jedzeniem i paleniem. Około osiemnastej wpadł Siergiej z wódką. Posiedzieliśmy do późna i udało mi się porozmawiać chwilę z Patrycją na Skype. Na szczęście w łazience złapaliśmy zasięg przez łącze wi-fi z sąsiedniego domostwa. Sylwia i Andrzej wydają się być nieufni. Boją się nawet wymienić adresami e-mail.

16.09.2012, niedziela

Po śniadaniu poszedłem pozwiedzać okolice. Dookoła urocze, małe uliczki z wiekowym kościołem protestanckim. Niedaleko opadające wzgórze z winoroślą, pola z burakami cukrowymi, pietruszką i dynią. Przy jednym z domów stoi jakiś starszy gość a koło niego stół zastawiony butelkami win. Facet częstując nimi przechodniów mówi coś po francusku. Trochę dalej jakiś raut przedwyborczy. Dookoła mnóstwo plakatów z twarzami kandydatów.

Madame Alice to bizneswoman w rolniczym wydaniu. Jeździ konno mając na sobie skórzany, brązowy kapelusz i buty sięgające kolan z powiewającymi paskami. O Polakach mówi, że to maszyny do pracy. Zdaje się, że mnie polubiła. A może po prostu jej nie podpadłem. Polacy mówią że lubi wykorzystywać Polaków i ich oszukiwać. Na „eksportcie” nie można jednak ufać nikomu. Nigdy nie wiadomo kto mówi prawdę. Polacy tutaj są mistrzami paplaniny i tylko oni się kłócą. Rozmawiają

z sobą przy jednym stole a zarazem obmawiają. Jedna osoba potrafi oczernić kogoś innego, siedzącego po przeciwległej stronie stołu. Jeden na drugiego. Nienawidzą się i walczą o wszystko. A obywatele Maroka nie odzywają się prawie w ogóle. Być może dlatego żyją z szefową w zgodzie.

W tygodniu żyjemy głównie pracą. Przychodzimy do gospodarstwa o godzinie szóstej rano, a wychodzimy między osiemnastą a dwiętnastą. Przeważnie zaczynamy od składania pietruszek. O godzinie ósmej idziemy do hali obok w celu czyszczenia dyń zebranych dzień wcześniej. Następnie niezależnie od pogody jedziemy na cięcie pietruszki w pobliskie pola. Niekiedy plany się zmieniają i wyruszamy ścinać dynie, których jest kilka rodzajów: Bonneturkish, Muscat, Pottimaron, Butternut czy Rouge.

Piszę w niedzielę po spacerze. Wczoraj na Abdura Rahmana spadła skrzynia wypełniona dyniami i przygniotła mu żebra i rękę. Claude zawiózł go do szpitala. Na obiad Grażyna z Sylwią ugotowały makaron z bakłażanami, tuńczykiem, papryką i pomidorami. Wszystkie składniki oprócz tuńczyka zabraliśmy ze szklarni, którą rozebraliśmy w piątek. W miejsce owoców szklarniowych wjechały dynie importowane z Francji. Podczas rozbioru szklarni wszyscy dostaliśmy ataku kaszlu połączonego z wylewaniem łez. Prawdopodobnie jest to reakcja na silne stężenie środków ochrony roślin. Codziennie liczymy ile można odłożyć. Ceny alkoholu są tu podobne do polskich, jedzenie drogie. Przeliczając na złotówki moglibyśmy wiele zaoszczędzić przywożąc żywność z Polski. W związku z tym Grażyna wpadła na następujący pomysł: dość duże zapasy żywności może nam przywieźć jej partnerka, która ma przyjechać do Grażyny w odwiedziny.

24.09.2012–30.09.2012

Lubię chłodne poranki zwłaszcza gdy pada deszcz. Wyjeżdżamy traktorem w pole ubrani w długie, zielone płaszcze. Śmiejemy się przy tym, że jesteśmy podobni do polskich wysiedleńców, którzy podczas drugiej wojny światowej byli celem wyzysku u niemieckich bauerów. Kiedy nie pracuję to dużo rozmyślam chodząc na spacer do lasu Thibout. Myśli nasuwają mi się same i dotyczą najczęściej przyszłości po powrocie z Belgii.

W poniedziałek pracowaliśmy czternaście godzin. Pakowanie gotowych pęczków jest ostatnim i najbardziej męczącym zajęciem. Ostatni etap zajmuje około dwóch godzin i jest wykonywany w tempie szybkim. Operacja ta najczęściej odbywa się w następujący sposób: Włodek wrzuca pęczki na taśmę. Następnie wjeżdżają one do urządzenia

zgrzewającego folię, w której umieszczona jest pojedyncza sztuka pietruszki. Andrzej odbiera ofoliowany produkt, pakując go do skrzynek po dwanaście sztuk w jednej. Z kolei ja występuję w roli podajnika skrzynek. Zabieram napełnione skrzynki Andrzejowi, układając je na palecie. Jednocześnie podaję mu puste skrzynki, żeby miał gdzie wrzucać lecące z taśmy ofoliowane pęczki. Cała operacja przebiega w ruchu ciągłym bez przerw, przy użyciu naszych spoconych czoł.

We wtorek rano przyjechała z Francji ciężarówka z naczepą wypełnioną dyniami. Zaczęliśmy ją rozładowywać ale o ósmej rano wyruszyliśmy ciąć pietruszkę. Zawsze przed wyjazdem ładujemy na naczepę traktora plastikowe kosze w ilości pięćdziesięciu sztuk, które mamy wypełnić jak najszybciej.

Denis ma dwadzieścia trzy lata. W lewym uchu nosi aparat słuchowy. Gdy go nie ma nadstawia znacząco ucho celem wymuszenia u rozmówcy powtórki zdania. Codziennie jest w gospodarstwie punktualnie o szóstej rano. Do pracy przyjeżdża swoim nowym Audi. Denis pracuje za dwadzieścia euro za godzinę, co w opinii miejscowych Belgów jest mało satysfakcjonującą stawką. To „poniżająca” jak sam określił pensja, ale na życie młodego kawalera z rodzicami wystarcza. W dodatku Denis jest oddany pracy i mocno przywiązany do rodziny swoich chlebowodawców. Gdy madame Alice na niego krzyknie Denis płacze. Gdy madame uśmiechając się szczerzy swe śnieżnobiałe zęby, Denis też się cieszy. Mój belgijski kompan jest zapatrzony w Claude'a męża Alice jak w obraz. Przychodzi do gospodarstwa nawet w weekendy. Zdaje się, że takich ludzi brakuje w Polsce i wcale mnie to nie dziwi. Denis pracuje w gospodarstwie niemalże od dzieciństwa. Jest ukierunkowany na rolnictwo i kocha swoją pracę.

Tak więc jedziemy na ciągnikowej przyczepie w pole. Poranek jest zimny i pada chłodny, jesienny deszcz. Mam na sobie czapkę, dwa podkoszulki, sweter, polar oraz kurtkę przeciwdeszczową. Ostatnia część mojego ubioru jest najważniejsza. Nieprzemakalną kurtkę zabrałem z bocznych siedzeń ciągnika w pierwszym tygodniu pracy. Zszyłem ją grubą dratwą którą znalazłem w szafie, bo zamek był do wyrzucenia. Niestety nie wszyscy mają taki luksus. Jan nie ma kurtki tylko przemakający płaszcz, co przy zimnym wietrze jest uciążliwe. Najgorszy jest właśnie wiatr, który przeszywa nas na wylot. Dobrze, że mam kalesony, spodnie i kombinezon przeciwdeszczowy również z ciągnika. Do kompletu mam jeszcze dwie pary skarpet i dziurawe gumowce. Deszcz nie ustępuje a my kleimy się w błocie, wywracając się co chwilę z pełnymi koszami ściętych pietruszek. Około dwunastej wracamy do zakładu na przerwę. Na hali jest zimno, temperatura w granicach ośmiu stopni Celsjusza. Jemy

nie ściągając ubrań żeby nie zmarznąć. Około trzynastej znów siedzimy na przyczepie od traktora, na szczęście nie pada. Nigdy nie mówią nam gdzie jedziemy. Na znak Denisa ładujemy skrzynki wsiadamy i ruszamy. Wiozą nas w pole kiedy zachodzi potrzeba, a my mamy być dyspozycyjni do szesnastu godzin dziennie. Domyśliliśmy się że jedziemy zbierać dynie. Rzeczywiście za piętnaście minut szybkiej przejażdżki ciągnikiem znaleźliśmy się w szczerym polu. Na nim wyrastały małe, czerwone dynie o wdzięcznej nazwie Pottimaron. W Polsce nazywają się one Hokkaido i uchodzą za dynię japońską. W jesieni Belgowie szaleją za tym warzywem jako dodatek do zupy. I tak Claude rozstawił kilka dużych, drewnianych skrzyń o wysokości dwóch metrów i szerokości metrów trzech. Mnie i Andrzeja ustawił w jednej linii, po drugiej stronie znalazł się Denis z Janem. Startujemy więc jak na olimpiadzie, w której wygraną zamiast medalu mają być pieniądze. Niezależnie od pogody: deszczu czy wichury wyruszamy zbierać dynie, choć każdy z nas w różnym celu: Andrzej zbiera na założenie restauracji, Jan dla wnuków i na samochód, Denis nie wiem po co, i ja po części dla ucieczki z Tarnowa i po części dla kasy. Claude w tym czasie ściga nas traktorem widłowym ze skrzyniami do których wrzucaliśmy zerwane uprzednio dynie. Podjeżdżając, trąca nas skrzyniami w celu przyspieszenia tempa. Dziś od wpół do drugiej do dwudziestej trzydziestej zebraliśmy czternaście takich skrzyń. Chyba z racji szybkiego tempa wszyscy zapomnieliśmy o głodzie i deszczowej pogodzie. Po całym dniu nie jedząc nic zasnąłem w mgnieniu oka.

TERAZ MY

Wieczorem przy papierosie rozmawiamy o sobie. Grażyna jest lesbijką. Jej partnerka mieszka we Wrocławiu i jest rozwódką z dwójką dzieci. Grażyna z kolei jest sama, nie licząc masy kompleksów, które w niej siedzą. Przyjechała spod Wrocławia. Jej ojciec to emerytowany oficer ludowego wojska polskiego. „Krzykacz” jak sama go określiła wyrzucił ją z domu gdy skończyła szkołę średnią. Z kolei brat Grażyny to również były wojskowy. Został wydalony z wojska za bliżej nieokreślone przekręty. Teraz ma firmę i dobrze mu się wiedzie. Nienawidzi swojej siostry i nie chce z nią rozmawiać. Za co? Grażyna nie chce powiedzieć.

Andrzej pochodzi z Rabki Zdroju. Twierdzi, że od dzieciństwa był poniżany przez ojca. Z kolei matka nigdy nie gotowała obiadów, bo nie było z czego. W domu była bieda, więc żeby nie być głodnym zatrudnił się u kolegi w jarzyniaku. Andrzej z zawodu jest kucharzem, uwielbia gotować ale i dobrze zjeść. Jest dobrze zbudowany i z natury spokojny. Pewnie dlatego dorabiał na miejscowych dyskotekach. Na balkonie po

kilku głębszych i przy papierosie opowiedział mi kilka kadrów z życia. Otóż pewnego razu gdy miał lat osiemnaście, wziął ojcu telefon komórkowy ze stołu celem zadzwonienia. Podczas poszukiwań numeru natknął się na film pornograficzny z udziałem ojca i jego kochanki. Wahał się z pokazaniem go matce, lecz dla pikanterii pokazał. Po obejrzeniu filmu matka wygoniła Andrzeja z domu twierdząc, że to mistyfikacja którą wymyślił jej syn poprzez nienawiść do ojca. Biedna kobieta mimo ciężkiego życia tak ceniła sobie wartość małżeństwa, że nie mogła uwierzyć w fakt tej perfidnej zdrady. I tak zaczęła się tułaczka Andrzeja. Początkowo pomieszkiwał u rodziny i znajomych. Sylwię poznał w dyskotecce w Krakowie, gdzie pracował w ochronie i stał przy bramce wejściowej.

Sylwia przyjechała z Bochni. Jej ojciec mechanik, miał warsztat samochodowy, który prawie cały przepił. Pod koniec życia zaczął naprawiać ludziom auta za wódkę. Sylwia wzięła więc sprawy w swoje ręce, biorąc warsztat na swój rachunek i podnosząc firmę z upadku. Jest rozwódką. Wyszła za mąż zabujana na amen w jednym z chłopaków – mechaników ojca. Od razu wyobraziłem sobie scenę z amerykańskich teledysków. Ona krucha blondyneczka, on ubrudzony, zabójczo przystojny mechanik z kluczem pod samochodem. Na naszym „balkonie zwierzeń” po drinku, Sylwia wyjawiała mi jednak całą historię. Amerykańska bajka prysła z chwilą gdy nakryła swojego lubego w łóżku z inną blondi. Żeby było pikantniej moja współlokatorka była wtedy w zaawansowanej ciąży. Dziś cieszy się bo urodziła mu martwe dziecko i „na szczęście” nie ma śladu po byłym mężu. Twierdzi także że ich związek musiał nie wypalić i od początku był pomyłką. Ona walczyła o małżeństwo a on działał dokładnie odwrotnie. Z Andrzejem który jest cztery lata od niej młodszy, jest dla bycia. Bycia z kimś z dala od wszystkiego złego, czego doświadczyła wcześniej. Dziś jest szczęśliwa i żyje dniem codziennym. Sylwia ma uraz do małych dzieci. Nie chce ich mieć, a jej trzyletni bratanek jest fajny na niedzielne popołudnie. Po rozwodzie poczuła się wolna i pojechała do Krakowa na disco, gdzie spotkała Andrzeja.

A dlaczego jestem tu ja? Chyba dlatego, że jak każdemu z moich towarzyszy było mi duszno i ciasno w Polsce, nie mogąc znaleźć dla siebie miejsca. Będąc bez pracy, chodząc bez celu po ulicach musiałem wyjechać żeby „coś” zmienić. Nieważne czy na lepsze czy gorsze. Byłe by zmienić życie, siebie, monotonię. Wiem że jestem odwrotnością mojego ojca, który dużo pracował. Przynajmniej takiego go pamiętam. Człowieka trzydziestoletniej pracy w jednym, komunistycznym zakładzie, z młodzieńczymi dyplomami sportowymi i masą niespełnionych ambicji. Całość zduszona biegiem wydarzeń na które nie miał wpływu, albo nie chciał mieć. Z kolei ja nigdy nie przepracowałem w jednej firmie dłużej niż pięć miesięcy.

Pewnie za bardzo lubię pojedynki i to mnie gubi w życiu zawodowym. Dlatego że w pracy zawsze trzeba komuś podlegać i uchylić głowę, spokojnie a ja nie zawsze to potrafię. Być może zdobyłbym się na uległość ale nie za marną pensję. A to się praktykuje w Polsce nagminnie. W dzieciństwie moimi ulubionymi filmami były serie Indiany Jonesa. Pewnie zostało mi coś z odkrywcy. Ale charakteru się nie wybiera, a ja nie chcę się zmieniać. Dlatego lubię kolejne życiowe wyzwania, choć czasem czuję że realizowane są kosztem mojej rodziny. Od niektórych osób słyszałem że to pozytywna cecha, od innych wręcz przeciwnie.

Dni lecą mozolnie. Zwłaszcza w niedzielę. Nie zawsze mogę połączyć się na skype z rodziną, bo laptop Andrzeja jest w ciągłym użytkowaniu. Wszyscy moi domownicy pod pozorem odpoczynku szukają sobie zajęć. Najczęściej kończy się to na oglądaniu tandetnych, wyśmianych kabaretów i chorych, sensacyjnych filmów po południu. Mnie przy tym nie ma. Wychodzę więc wcześniej rano żeby nie słuchać głupich dyskusji poważnie na temat innych.

Codziennie rano lubię patrzeć w gwieździste niebo. Szczególnie o piątej trzydzieści zanim pójde do pracy. Gwiazdy są duże i piękne. Wzywają do refleksji przy porannym papierosie. Siergiej mówi, że na Sybirze widział dużo większe. Ponadto lubi opowiadać o Putinie. Zachwyca się przy tym jego silną osobowością, gorąco popierając instytucję KGB. Poranki są dobre do medytacji na różne tematy, ale trzeba się szykować do gospodarstwa. Dobrze że z madame Alice żyjemy w dobrych relacjach. Przynajmniej tak mi się wydaje. Po dwóch tygodniach pracy stałem się pośrednikiem – tłumaczem pomiędzy Polakami a właścicielką gospodarstwa. Marokańczycy znają francuski, Polacy mówią tylko po polsku. Szefowa i ja znamy wspólny język, angielski. Nie wszyscy Polacy patrzą na ten fakt pokojowym okiem, choć niektórzy mają w tym interes. Najbardziej denerwują się ludzie pragnący tu zostać na stałe. Bo mimo tego, że tu gniją i za wszelką cenę chcą sobie nabić u szefowej punktów, to trzymają ich bariera językowa. W dodatku to ja muszę im tłumaczyć co mają robić. Tak więc ogół moich braci i sióstr z Polski grzecznie się do mnie odnosi, bądź jak kto woli z bliżej nieokreślonym dystansem.

Głównymi tematami Polaków na „eksporcie” są: narzekanie na niskie zarobki w Polsce i trudne życie za granicą. Oczywiście wszystko w symbiozie z tęsknotą. Analizując te dwa czynniki każdy z emigrantów zmuszony jest do szukania złotego środka. Środka jako zasady życia, swoistego „main course”, dającego satysfakcję w życiu. I tak obgadywana przez wszystkich Stanisława non – stop opowiada o Belgijkach podejrzających pod Intermarche nowymi autami i młodych mamach, które w ramach wolnego czasu kupują w sklepie wszystko, nawet bez potrzeby.

Twierdzi, że oni nie wiedzą co to nie mieć na chleb. Stanisława żałuje, że urodziła się w Polsce a nie w Belgii. Brak jej sił do życia. Nienawidzi Polski i związanego z nią Kościoła. W rodzinnych stronach, wraz z mężem Włodkiem musiała zamknąć kiosk z powodu powstania supermarketu. Oboje przyjechali do Belgii i stoją przy taśmie dwanaście godzin dziennie. Codziennie Stanisława i Włodek wyzywają pod nosem od najgorszych pracujące z nią islamskie Marokanki. Zdaje się że Stanisława nie tylko nie lubi Polski. Nie lubi też ogółu społeczeństwa i Belgii. Dlatego jej współczuję.

Sylwia i Andrzej mają założoną firmę usługową w Polsce. Nie interesuje ich jakiegokolwiek życie rodzinne. Są od trzech lat razem. Ona ma trzydzieści trzy lata, on dwadzieścia sześć. Często i głośno rozmawiają o pieniądzach, kłócąc się przy tym. Oboje myślą o założeniu restauracji w podkrakowskich Wadowicach. Andrzej opowiadał mi przy piwie, że nie potrafi już pracować w Polsce. Według niego, jak można żyć, zbudować miejsce dla wychowania dzieci w spokoju, mając przy tym po pracy czas dla rodziny. Andrzej chciałby po rodzinnemu, ale nie w Polsce. Bo w kraju trzeba mieć dobrze płatną robotę a nie użerać się z prywaciarzem, który ciągle będzie straszył swoich żołnierzy zwolnieniem. Do tego jeszcze za tysiąc złotych miesięcznie.

Czasem Polacy zmieniają temat i przy śniadaniu mówią o jedzeniu. Stanisława i Włodek są tu najdłużej, bo ponad dwa lata. Pochodzą z Łodzi. Mają odchowane dzieci i dorabiają do emerytury. Przy śniadaniu lubią obgadywać innych. Zazwyczaj temat dotyczy madame Alice. Czasem można też usłyszeć ile osób wyleciało bądź kto niedługo opuści gospodarstwo za złe sprawowanie.

Maria i Jan mają koło sześćdziesiątki. To małżeństwo, które jechało ze mną w busie. Żyją w lesie przy granicy z Nysą Łużycką. Jan pracuje tu dla wnuków, bo jego zięć i córka nie mają roboty. I tu ciekawostka. Okazuje się że w Europie, w dwudziestym pierwszym wieku da się żyć bez sklepów i dochodów. Jan łowi ryby w Nysie. Ponadto ma uprawnienia łowieckie. Opowiada o zabitych przez siebie i przyrządzonych przez żonę zwierzętach. W lecie dobrze że są grzyby. Można je sprzedawać przy drodze i w razie szczuplejszych dni, zjeść. W domu mieszka ich dwanaścioro: Jan z żoną Marią, syn z rodziną i córka z rodziną. Wszyscy bezrobotni. Jan, gdy zarobi na pietruszkach, przeznaczy forszę na auto typu Van. Ma przy tym plan przewozić meble z Niemiec do Polski i zarabiać na różnicach cen.

Kilku obywateli belgijskich pracuje z nami, ale zarabiają trzykrotnie więcej od Polaków i Marokańczyków. To dla nich i tak za mało

więc narzekają że im źle. Jednego dnia przyszła młoda dziewczyna wysłana z bezrobocia przez belgijski Urząd Pracy. Postała przy taśmie dwie godziny, pośpiewała coś pod nosem ze słuchawkami w uszach, po czym najzwyczajniej w świecie wyszła. Nie mówiła nikomu ani słowa. Po prostu wsiadła w auto i odjechała.

ZACHODNI BIG BROTHER

Piszę z lasku Thibout do którego przychodzę prawie codziennie. Jest ciepła sobota, godzina czternasta dwadzieścia. W piątek pokłóciliśmy się. Grażyna chce ze mną robić cotygodniowe zakupy za sto euro albo i więcej. Uwielbia też wystawnie gotować, ale głównie poszło o jej zachowanie. Obmawia mnie do ludzi z którymi mieszkam oraz w pracy dlatego, że coś nie idzie po jej myśli. Z Andrzejem dogaduję się dobrze, z dziewczynami nie. Wygląda na to że Sylwia i Grażyna złapały wspólny język i nie chcą ze mną rozmawiać. Grażyna, była właścicielka sklepu z długami jest energiczna i w wielu sytuacjach reaguje emocjonalnie. Dzięki tym cechom doskonale udaje się jej manipulować Sylwią, która próbuje jej dorównać w „przebojowości”. Nie boi się o swojego chłopaka, bo wie że Grażyna jest lesbijką. Andrzej tylko przygląda się całej sytuacji, z kolei Grażyna działa na mnie negatywnie. Drażni mnie jej władczość, chęć „przestawiania” wszystkich kogo spotka na swojej drodze. Niestety domowników na eksporcie się nie wybiera. Wydałem w sklepie trzydzieści euro na jedzenie, tytoń i parę piw. Dwadzieścia euro zostało mi w portfelu. Do sklepu pojechaliśmy wszyscy razem z Siergiejem w grobowej atmosferze. Wiem że Ola mówi wiele rzeczy kłamliwych na mój temat, w które wierzą moi domownicy. Postanowiłem jednak że nie będę się mieszał w ich głupie rozmowy. Tutaj i tak na nikogo nie mogę liczyć oprócz siebie. Czuję się wolny i nikt nie będzie za mnie decydował, zwłaszcza w kwestii finansowej. Trzymam się starej zasady, która mówi że na eksporcie tak naprawdę nie można nikomu ufać, zwłaszcza swojemu rodakowi.

Ostatnimi czasy Grażyna zaproponowała mi, że skoro mieszkamy razem, to może pożyczylbym jej dwieście euro na jej długi w Polsce. Kategorycznie odmówiłem na tę propozycję. Po mojej odpowiedzi wpadła w furję twierdząc, że nikt jej nie chce pomóc. Coraz rzadziej bywam w domu. Uciekam, gdy tylko jest możliwość. Jem orzechy w lesie, czytając smsy od żony i oglądając rachunki ze sklepu. Las Thibout pomaga mi przetrwać trudny okres zachodniego wyobcowania. Czuję, że chciałbym wrócić do Polski, choćby do tej którą przeklinałem przed wyjazdem.

Niedziela

Byłem dziś w przydrożnej kapliczce z figurką św. Antoniego, pod którą przychodzę się pomodlić. Poprosiłem Andrzeja o skorzystanie ze Skype, choć nie podobało się to Sylwii i Grażynie. Po rozmowie z rodziną czuję się lepiej. Jestem na spacerze od dziewiątej rano. Wychodzę wcześniej, bo nie mogę znieść domowego kwasu. Najczęściej wracam do domu o czternastej i chciałbym być tam sam. Jak wrócę to zjem coś, wezmę prysznic i pójdę spać żeby nie wdawać się w rozmowy z domownikami. Wiele rzeczy chciałbym z nimi powyjaśniać. Będąc jednak na straconej pozycji wiem, że moje działania będą daremne. Wszelkie bowiem próby mediacji z mojej strony skończyły się fiaskiem.

01.10.2012–07.10.2012

Nie lubię niedziel. Mimo wolnego czasu ciągną się one w nieskończoność. Dni pracy biegają szybko. Szefostwo wymyśla dużo robót w których brak organizacji pracy. W poniedziałek rano od szóstej do ósmej czyściliśmy dynie. Potem pojechaliśmy w pole ścinać pietruszkę. Praca w polu trwała do godziny dwunastej, wtedy również najczęściej pada deszcz. Po tym czasie wróciliśmy do gospodarstwa, by znów za pomocą szczotek czyścić dynie. Koło godziny czternastej wyruszyliśmy znów w pole, by zebrać cztery duże skrzynie dyni gatunku rouge. Każda skrzynia waży około jednej tony. Po powrocie pakujemy wyczyszczone uprzednio dynie do skrzynek, które jadą bezpośrednio do sklepów. We wtorek i środę od ósmej do osiemnastej myliśmy dynie. Operacja ta ma następujący przebieg: Przy ogromnej wannie napełnionej lodowatą wodą stoję ja, Andrzej i Jan. Wybieramy ze skrzyni po kilkanaście dyni i wrzucamy do wanny. Następnie czyścimy je rękoma zanurzonymi po łokcie. Od stania i zimna bolą mnie stawy. Trzeba robić przysiady celem rozruszania kości. Do tego dochodzi lodowata woda, która jest wszędzie. W polu gdy tniemy pietruszkę lub zbieramy dynie i na hali po same kostki. W czwartek pracowaliśmy od szóstej do dwudziestej. Internetu nie ma. Jesteśmy odcięci od świata na tej wsi.

07.10.2012–19.10.2012

Kwasu z domownikami nie ma choć rozmawiamy niemalże formalnie. Z atrakcji to zepsuła się nam pralka a woda w kranie jest żółta. Dostaliśmy po kilka surówek od madame Alice, która miała ich nadmiar i chciała wyrzucić.

Andrzej i Sylwia jadą na urlop w piątek, na dwa tygodnie. W sobotę byłem na spacerze z Janem, któremu Andrzej nadał tytuł „brudasa z lasu”. Jan swój pseudonim otrzymał po tym, jak chciał pożyczyć od

Andrzeja osełkę do ostrzenia noża. Andrzej zwyzywał Jana słowami że „śmierdzącym szmaciarzom” nie daje się osełek. Potem mój domownik oznajmił mi, że Jan jest szmaciarzem bo nosi duże wąsy, jest szczupły i je jakby nie jadł tydzień. Jakby właśnie wyszedł z lasu. Jego żona Maria otrzymała tytuł „świętej matrony”. Pewnego popołudnia, gdy wracaliśmy z pracy ta starsza, siwa kobieta płakała w drodze do domu z powodu pewnej sytuacji. Otóż rzecz miała miejsce podczas ostatniego procesu naszej pracy, mianowicie pakowania pietruszek. Pani ze Zgorzelca zbierała skrzynki z taśmy zbyt wolno, za co Grażyna mało co ją nie pobiła. Wrzeszczała przy tym i wyzywała ją od najgorszych. Sytuacja dla mnie bynajmniej niesmaczna: młodsza kobieta wyzywa inną, która mogłaby być jej matką. Ale na eksporcie zasad nie ma. Albo są tylko dla wybranych.

Poszliśmy z Janem do Intermarche, w niedalekiej miejscowości o nazwie Richnes. Za ten wypad zostaną pewnie szczegółowo odpytani przez domowników. Następny tydzień skupi się u mnie na załatwieniu biletu lotniczego do Krakowa, z niedalekiego lotniska Charleroi. Siergiej pożycza mi laptop do rozmów z Patrycją. Nikt tu nie ma drukarki, żeby wydrukować rezerwację lotu. Zresztą nie rozumiem nic po rosyjsku. Gdy patrzę na alfabet naszych sąsiadów zza wschodniej granicy to czuję się jakbym rozpracowywał znaki chińskie. Najważniejsze jednak jest to, że udało mi się zamontować nowe podkładki filcowe do butów i zszyłem kurtkę przeciwdeszczową. Uciekam stąd końcem listopada. Powiem o tym madame Alice jak tylko otrzymam pocztą bilet powrotny.

Dużo z Denisem mówimy po francusku. Chłopak mówi powoli, więc łatwo wyłapać słowa i się podszkolić. Żałuję że zapomniałem słownika francusko-polskiego z piwnicy. W pracy sezon dyniowy się kończy i zaczynamy skupiać się na pietruszce importowanej z Hiszpanii. Belgij-ska pietruszka o tej porze marznie.

24.10.2012

Wczoraj Patrycja zarezerwowała mi lot. W pracy ludzie nie wytrzymują psychicznie. Jan wyskoczył na starszą Marokankę (tak przy okazji: w Belgii jest zakaz zakrywania twarzy przez muzułmanów) i zwyzywał ją po polsku uderzając dynią. Na szczęście nie trafił, bo ofiara zdążyła schylić głowę. Andrzej z Sylwią są na urlopie w Polsce. Mój domownik przed wyjazdem powiedział mi, że Grażyna jest mu winna trzysta złotych za doładowania do telefonu. Andrzej kłóci się z Sylwią, bo ta trzyma stronę Grażyny, która przerabia ją na swoją stronę. Wszystko zagmatwane jak w serialu wenezuelskim. Grażyna próbowała pożyczyć pieniądze nie tylko ode mnie i domowników ale i u właścicieli budynku w którym mieszkamy. Dodatkowo chodziła jeszcze do Włodka i Stanisławy, którzy

wypytywali mnie o co jej chodzi. Wreszcie w jednym z napadów szału Grażyna wykrzyczała, iż zbiera na operację wszczepienia sobie organów płciowych męskich celem zaspokojenia seksualnego swojej partnerki, Lucyny. Gdzieś usłyszała, że takie operacje wykonują lekarze w Brukseli za nieduże pieniądze. Bez komentarza.

Lucyna jest po rozwodzie i ma dwójkę dzieci z kryminalistą. Przez telefon kłócą się i przeklinają. Przed wyjazdem obie córki Lucyny wychowywała Grażyna podczas gdy matka była w pracy lub zdarzyło się jej zabalować. Grażyna twierdzi, że nie ma nikogo oprócz niej. Wyjawia również, że pociąg do kobiet odkryła w okresie dorastania. Ojciec – emerytowany pułkownik wyzywał ją i straszył, matka – lekarz stomatolog której nigdy nie było w domu. Grażyna miała firmę z częściami samochodowymi. Oszukał ją wspólnik na grube pieniądze i poszła siedzieć. Po wyjściu zajęła się nowym interesem, sklepem. Gdy biznes jej nie wypalił, wyładowała na zajęciach komorniczych.

Abdur Rahman wraca do siebie ale nie pracuje. Porusza się na wózku inwalidzkim. Sezon dyniowy zmierza ku końcowi w związku z czym codziennie ścinamy pietruszkę Plat i Freeze. Kończy się wycinane przez nas pole, na niektórych widać choroby pietruszek w postaci białych plam. Po dziesiątym listopada pietruszka do sprzedaży w Belgii będzie importowana od rolników z Hiszpanii. Jestem tu do dwudziestego dwiętego listopada. Wtedy też mam zarezerwowany lot. Już dziś wiem, że jedyne co będę stąd mile wspominał to jazda na naczepie traktora na szczycie ogromnych skrzyń. Są one wypełnione po brzegi dyniami. Do lasu Thibout chodzę już rzadko, a jeśli tam jestem to na krótko. Jest zimno i pełno pod nogami liści.

01.11.2012, czwartek

Nareszcie wszedłem w listopad. W polu gdzie pracujemy czuć okropny ziąb, który potęguje mroźny wiatr z deszczem. W domu gdzie mieszkamy jest jeden piec elektryczny, przy którym wszyscy suszymy przemoknięte ubrania i buty. Schną one na kolejny dzień pracy. Ogrzewania nie ma, bo właściciel twierdzi że jest zepsute. Dlatego w nocy nagrzewamy choćby kuchnię przy pomocy otwartego kuchennego piekarnika. Ostatnimi czasy pracujemy po czternaście godzin dziennie. Widać brak dogadywania się ze strony właścicieli gospodarstwa. Raz wysyłają nas w pole po to, by po godzinie z niego wrócić. I tak w kółko. Nie liczą się z nami. Dla nich jesteśmy maszynami do pracy i wykonywania norm. Tydzień temu w piątek przesiedzieliśmy w polu cały dzień. W deszczu i w wietrze. W polu poruszaliśmy się jak cienie, których jedynym sprzymierzeńcem stał się uciekający czas. Jeszcze trzy tygodnie pracy i powrót.

Jutro podejść do madame Alice i powiem jej o zaplanowanym odejściu. Wczoraj właścicielka wpadła w furję po tym, jak jeden z jej największych kontrahentów zwrócił cały towar. Chodziło o ślady gnicia pietruszek. Madame Alice kazała rozrywać zafoliowane pietruszki i przebierać. Stojącym przy taśmach ludziom zrywała kaptury i czapki z głów twierdząc, że nie widzą co składają. Kilka dni temu śniło mi się że wróciłem do Tarnowa, który był cały w gruzach i chciałem wracać za granicę. Sen skojarzyłem z brakiem pracy w Tarnowie i nieuniknionym wyjazdem zarobkowym.

Jan ma pięćdziesiąt pięć lat i nie nadąża z pracą przy pakowaniu. Włodek wkłada pęczki na taśmę ja odbieram gotowy produkt, który pakuję do czterech niewielkich skrzynek, po sześć sztuk każda. Jan odbiera ode mnie pełne skrzynki, składa na paletę i podaje mi nowe. W międzyczasie wymaga się od niego, żeby rozkładał złożone skrzynki puste i pomagał Włódkowi. Innymi słowy Jan ma biec na początek taśmy i wrzucać na stojak kosze pełne pietruszek, które Włodek wrzuca na taśmę. Po chwili ma przybiec do mnie i ponowić operację. W międzyczasie jest on obserwowany przez szefową, która kręci głową gdy Jan nie nadąża. Nie tak nasza Belgia miała wyglądać.

07.11.2012, środa

Madame Alice podeszła do mnie przy pakowaniu i kazała mi przekazać Janowi i Marii że dziś jest ich ostatni dzień. Musiałem im to powiedzieć, choć było mi smutno. Właścicielka stwierdziła, że goście ze Zgorzelca są zbyt słabi i mają wracać do Polski. Do soboty włącznie mogą mieszkać, potem mają być dwie nowe osoby. Moim zdaniem zwalnia ich celowo, żeby przeszkolić następnych przed świętami Bożego Narodzenia. W grudniu pracuje się tu po szesnaście – osiemnaście godzin dziennie. Zjedliśmy wspólną kolację i pożegnaliśmy się.

11.11.2012

Co niedzielę chodziliśmy z Janem do Intermarche, teraz chodzę do sklepu sam. Sylwia z Andrzejem wrócili z urlopu. Do Grażyny przyjechała jej partnerka. Gdy przekraczała próg naszego mieszkania upadła na podłogę. Była w stanie upojenia alkoholowego. Grażyna i Lucyna kłócą się i wyzywają ale z Lucyną da się normalnie rozmawiać. Partnerka Grażyny ma poważne problemy życiowe. Sama wychowuje dwie dorastające córki. Byłego męża sądownie pozbawiła praw rodzicielskich po tym, jak pobił ją do nieprzytomności. Przy okazji dzieciom kazał się wynieść z domu. Lucyna znalazła pocieszenie w Grażynie, którą przyjęła pod swój dach. Od tej pory mieszkają razem. Lucyna mówiąc o swojej sytuacji uśmiecha się i po chwili płacze rzewnymi łzami. Będąc podpita

twierdzi, że nie traktuje związku z Grażyną poważnie. Grażyna z kolei liczy na zalegalizowanie ich związku i chciałaby wziąć pod opiekę prawną dzieci. Ogół sytuacji przypomina chorą sztukę teatralną w której aktorami są wrażliwi, poranieni przez życie ludzie.

Mój list od Patrycji z rezerwacją lotu jest na pocztę w Richnes na którą mam niespełna godzinę idąc spacerem. Madame Alice nie podobą się że Lucyna mieszka na dziko więc będzie chciała się jej pozbyć. Grażyna namawiała mnie żebym przekonał właścicielkę gospodarstwa, by Lucyna mogła zostać dłużej, na co się nie zgodziłem. Pewnie dlatego omija mnie teraz szerokim łukiem i nie odzywa się. Z resztą gdy siedzimy przy stole na przerwie, każdy szepcze coś patrząc w jej stronę. Grażyna najczęściej wtedy wychodzi na papierosa, bo wie że jest tu niemiłe widziana. Z resztą chyba jak każdy.

Atmosfera między Polakami jest coraz gorsza. W miejsce Jana i Marii przyjechało małżeństwo w średnim wieku z Bełchatowa. Są mili i chętni do pracy. Przyjechali samochodem na własny koszt, płacąc agencji za załatwienie pracy. Po dwóch dniach Grażyna i Sylwia poszły do Madame Alice ze skargą, że nowi przybysze zbyt wolno pracują i są chamscy wobec innych. W powyższe kłamstwo próbowały i mnie wciągnąć wykorzystując w charakterze tłumacza. Gdy kategorycznie odmówiłem, napisały parę słów na kartce i chciały żebym im podał angielskie odpowiedniki. Kartkę podałem przy nich pozostawiając sytuację bez komentarza. W ostateczności poszły do właścicielki i wymachując coś rękoma starały się za wszelką cenę pozbyć niewygodnej konkurencji. Do nich dołączyli Stanisława z Włodkiem. Żalonym jest fakt, że madame Alice im uwiereżyła i po kilku takich „skargach” ugięła się. Stanisław i Dorota z Bełchatowa pracowali w gospodarstwie trzy dni po czym zostali odesłani Polski.

20.11.2012

Znów rozbieraliśmy szklarnię. Spakowaliśmy do reklamówek pozostałości po niej, czyli pomidory, papryki i bakłażany. W miejsce szklarni powstanie tunel do przechowywania importowanych dyń. Od kilku dni nie jeździmy już w pole. Stoję przy taśmie w kałuży i składam pęczki z hiszpańskiej pietruszki. Kończę przy tym mój pobyt tak, jak go zaczynałem. Odbijające się światło od błaszanego blatu razi mnie w oczy. Po kilku godzinach stania w jednym miejscu mam zawroty głowy. Staram się jednak myśleć już tylko o powrocie do Polski.

25.11.2012, niedziela

Zostało mi jeszcze ostatnie cztery dni. Przyszedłem do lasu Thibout pewnie po raz ostatni. Dziś zdałem sobie sprawę, że wolę pobyć

wśród drzew niż z domownikami. Grażyna z Sylwią pobiły się o nieodane przez Grażynę pieniądze. Andrzej był zmuszony je rozdzielać. Gdy zobaczyłem tę scenę wydawało mi się że jestem w odcinku jednego z programów produkcji MTV. Andrzej pokłócił się z właścicielem domu o to że nie ma Internetu. Tydzień temu byliśmy w gościnie u Siergieja. Poczęstował nas rosyjską wódką i zupą z łososia którą nazywał „Ucha”. Wczoraj Siergiej dostał zawału serca w pracy i wylądował w szpitalu w Brukseli. W domu, w którym mieszkaliśmy przez ostatnie dwa tygodnie nikt z sobą nie rozmawiał, za to wszyscy przekrzykiwali się nawzajem. Najczęściej pretensje odnosiły się do wszystkich i dosłownie o wszystko.

29.11.2012, godzina 9:27

Jestem na lotnisku w Charleroi. Wylot mam o 15:35. Bramki zamykają o trzeciej ale wolę być wcześniej. Siergiej wczoraj wrócił do domu. Wczesnym rankiem jak jechał do pracy podwiózł mnie na lotnisko. Siedzę w restauracji, wokół pełno ludzi z bagażami. Piję Jupilera i rozmyślam patrząc na startujące samoloty. Wczoraj około siódmej rano wpadło na halę dwóch nowych chłopaków z Polski. Maciek i Grzesiek ledwo trzymali się na nogach. Skłamałbym że ich wygląd zdradzał zmęczenie. Oboje byli pijani i chcieli rozmawiać z szefową. Szybko wytłumaczyłem im gdzie mają się zameldować i że lepiej będzie jak pójdą spać. Pożegnałem się z Andrzejem, Sylwią i Grażyną mówiąc krótkie „cześć”. Pożegnałem się z Włodkiem i Stanisławą, którym szefowa nie zapłaciła za ostatnie trzy miesiące pracy. Na koniec przyszło mi powiedzieć „au revoir” Deni-sowi, Claude'owi i kobietom pracującym z Maroko: Hadiji i Dżamili. Wreszcie pożegnałem się z madame Alice która zaprosiła mnie do pracy w przyszłym roku. Czy skorzystam z jej oferty? Dziś nie potrafię się określić. Muszę to przemyśleć.

FIN

MAŁGORZATA PŁANIK

DEPECHE MODE „SPIRIT”



Aktualnie w skład tej brytyjskiej grupy z miasta Basildon wchodzi trzech muzyków, którzy grali w niej od początku istnienia. Są to Dave Gahan (wokół prowadzący), Andrew Fletcher (klawisz, bas), Martin Gore (klawisz, gitara elektryczna, wokół wspierający). Nazwa tej formacji powstała przez inspirację muzyków francuskim magazynem mody, a zasugerował ją Gahan. Ważną sprawą dla młodych muzyków był zakup instrumentów, zwłaszcza syntezatora. Aby

to osiągnąć Gore podjął się pracy urzędnika bankowego, zaś Fletcher był agentem ubezpieczeniowym. W 1980 r. do grupy dołączył Dave Gahan. Takie były ich początki, zaś w obecnym 2017 r. ukazała się już 14-ta studyjna produkcja Depeche Mode o tytule „*Spirit*”. Singiel promujący tę płytę, *Where's The Revolution*, już po pierwszym przesłuchaniu pokazuje swe niezwykle piękno i doceniony przez słuchaczy znalazł się na czołowych miejscach wielu list przebojów w tym na liście przebojów programu trzeciego polskiego radia, prowadzoną przez Marka Niedźwieckiego. Płyta zaczyna się mrocznie przypominając lata gotyku z którym to nurtem na przełomie lat 80 i 90 tych utożsamiano tę grupę. Rozpoczyna ją *Going Backwards*, gdzie gitara i fortepian przeplatają się z elektroniką tworząc transowy klimat utworu. Drugi na płycie to właśnie singiel wybrany przez muzyków jako promocja albumu o wyrazistym, przebojowym charakterze. Następny temat to krótka ballada p.t. *The Worst Crime* o lirycznym brzmieniu instrumentalnym i łagodnym nastroju w interpretacji wokalisty. Syntezatorowy, perkusyjny pełen szumów, szmerów oraz organowych klawiszy to utwór *Scum*.

Zauważalny wyraźnie jest tu refren o chwytnym, rytmicznym, żywym tempie. *You Move* podobny w swym wyrazie do poprzedniego i tu też słyszymy wyraźną perkusję i oniryczne syntezatory, a także transowy refren z towarzyszeniem klawiszy. *Cover Me* rozpoczyna nastrojowy wokół Dave Gahan'a, natchniony, pełen spokoju z łagodnym towarzyszeniem podkładu instrumentalnego. Jest to kolejna, senna ballada na tym krążku z wyraźną melodyką oraz transowym zakończeniem. Podobno 70% kompozycji to utwory mówiące o miłości. Tak jest i w tym

przypadku. *Eternal* to numer romantyczny, emocjonalny, nastrojowy zarówno w wykonaniu wokalnym jak i instrumentalnym. *Poison Heart* to kolejna kompozycja o tej tematyce mówiąca tym razem o nieszczęśliwej miłości będącej trucizną dla serca. Ciekawym elementem jest tu backing vocal tworzący chórki w refrenie, któremu towarzyszą snujące się jak mgła syntezatory. *So Much Love*, jak wnioskujemy po tytule porusza ten sam temat tworząc na płycie kącik mówiący o miłości. Jest to jednakże utwór żywszy, bardziej rytmiczny i mniej nastrojowy niż dwa poprzednie to też decydującą rolę pełni tu perkusja i podobne brzmienie syntezatorów. Syntezatorowo z współbrzmieniem chórków zaczyna się *Poorman*. Wyrazisty wokal Gahan'a tworzy kompozycję liryczną o transowym charakterze, którego atmosfera narasta wraz z biegiem utworu. Pod koniec rozwija się tworząc bogate instrumentarium sfinalizowane perkusją. Moim zdaniem jest to jeden z ciekawszych tematów na płycie. *No More (This Is The Last Time)* to utwór o połamanym rytmie więc jest to coś dla bardziej wymagającego słuchacza. Utwór w zwrotce nie wyróżnia się zbyt na tle innych numerów Depeche Mode, ale już refren nadaje mu "to coś" co jak twierdzą recenzenci fascynuje swym brzmieniem. Kompozycja wieńcząca album to nostalgiczny *Fail*. Zaczyna się lirycznie spokojnym tempem i nastrojem, który wzbogacają wokalizy Gahan wraz z Gore zaś instrumenty spokojnie wybrzmiewają ku końcowi zarówno kompozycji jak i albumu. Płyta w porównaniu z innymi wydawnictwami Depeche Mode jest jak możemy stwierdzić jedną z ciekawszych ich produkcji. Zapewne pokaże to czas, ale już dziś możemy stwierdzić, że jest to udany album i będziemy nieraz chętnie po niego sięgać.

ZBIGNIEW LESZCZYC MIROSLAWSKI

„MIŚ MA GŁOS”

RECENZJA OPOWIADANIA MARII MARZENY KOROL

Opowiadanie Marii „Marzeny” Korol pt. „Był sobie miś” opiera się na niby prostym zabiegu udzielenia głosu dziecięcej zabawce. Jednak efekty uzyskane dzięki temu zdawałoby się nie wyszukanemu podejściu do tematu są fascynujące. Dlaczego? Wypada przyjrzeć się całości krok po kroku, śledząc historię opowiadaną przez... tak, opowiadaną przez misia. Jak wygląda? Od samego początku narracja należy do głównego bohatera. Sam siebie opisuje. *„Szklane, brązowożłote oczka jeszcze błyszczą, choć tyle lat mają za sobą. Futerko się powycierało, nadpaliło, cały straciłem kolor. Ech... Dobrze, że mama Tosia dziury polatała, to trociny się nie wysypują i jakoś jeszcze wyglądam...”*

Autorefleksja misia budzi sympatię a w umysłach dzieci, dla których treść ta jest dzięki temu bliższa, współczucie, dla „weterana”, który nie tylko swoim wyglądem zaświadcza o bogatych przeżyciach ale i posiada dar interesującej przemowy.

Skąd się wziął? Słyszmy wprost od niego: *„Kiedyś to było życie! Siedziałem sobie na półce w sklepie we Lwowie, polskim Lwowie. Byłem elegancki, pachnący drzewem i nowością z czerwoną wstążeczką pod szyją. Prowadziłem inteligentne dysputy z pięknie ubranymi i pachnącymi lalkami...”*

Tak pewnie opowiadał by dziadzio, lwowiak, pamiętający polski Lwów, pamiętający lwy przed ratuszem. Odwiedzający lwowskie sklepy i kawiarnie. I rzeczywiście do składu z zabawkami wchodzi dziadzio autorki *„...energiczny rudy pan z włosami wygładzonymi brylantyną, w ładnym ciemnym garniturze, w białej koszuli i pod krawatem. Rozglądnął się po sklepie i spojrzał z zaciekawieniem na mnie.*

– To będzie dobry upominek dla mojego synka – powiedział do pani stojącej za ladą.

– Proszę zapakować...”

Płynne przejście z opisu do dialogu wykonane jest po mistrzowsku. Podobnie dzieje się w momencie zapoznania się misia z jego przyjacielem, chłopczykiem o imieniu Lesio.

„...Wieko pudełka podniósł chłopczyk z rudymi lokami na głowie i niebieskimi oczkami.

– Tatusiu! To mój miś?! – zapytał chłopczyk ojca.

– Dziękuję Tatu! –

– Tak Lesiu! To Twój miś! –

– Mama! Mama! Miś! –

I tak oto stałem się towarzyszem życia chłopca o imieniu Lesiu!... Codzienne dni upływały spokojnie, w ogrodzie albo na kolanach dziecka, w jego łóżeczku”.

Poznajemy całą rodzinę: mamę chłopczyka, panią Tosię, nauczycielkę po Seminarium Nauczycielskim im. Zofii Strzałkowskiej we Lwowie, pracującą w kolejnych szkołach. Będącą wreszcie kierowniczką Szkoły Powszechnej w Bojańcu, na Wołyniu.

Miś relacjonuje „...*W szkole było wesoło, pełno dziecięcych śmiechów, okrzyków, bieganiny. Dzieci chętnie się uczyły, chętnie śpiewały, lubiły zabawy na świeżym powietrzu. My z Lesiem często także w nich uczestniczyliśmy...*”.

Jest to bliskie światu znanemu przez dzieci, światu ich przeżywania i ich zabawy. Jednak już od drugiej strony tej opowieści wkracza historia ludzi dorosłych. Tato Lesia, Michał, jest podporucznikiem rezerwy Wojska Polskiego i jedzie na front. Nadchodzi 17 września 1939 r. Zmienia się dosłownie wszystko. Którejś kwietniowej nocy rodzina państwa Korolów, pani Antonina z Majewskich, Lesio, gospośnia Kasia i miś zostają deportowani przez NKWD. Trzech żołnierzy i dwóch cywili, wszyscy mówiący po rosyjsku w środku nocy wyrrywają ze snu dziecko, misia i dwie kobiety. Jeden z nich macha „bumagą”. Czyta: „Prykazom wierchownowo sowieta pieriesielajem was w druguju obłast”.

Trudno to pojąć. Nie sposób wczuć się w sytuację, kiedy na furmance, nocą jest się wiezionym do stacji kolejowej w Żółkwi. Tam jest się upchniętym do bydłowego wagonu i odprawionym w nieznane.

Dobrze, że „...*Mały chłopczyk ścisnął mnie mocno, przez sen, jakbym był jego największym skarbem...*”. Miś też jest zdenerwowany, „...*Balem się, że mnie wypuści z rąk i zostanie gdzieś w polu na zmarnowanie, sam chętnie wczepiłbym się w chłopca, gdyby tylko moje trocinowe łapki na to pozwoliły...*”. Bezpośredniość misia pozwala na zbliżenie się do tego dramatu na odległość ściskanej rączki... raczej, ściskanej łapki misia. Po 2 tygodniach podróży przez Kleparów, Podzamcze, Podborze, poprzez Złoczów, Tarnopol do Kurska i dalej za Dniepr, za Wołgę, za rzekę Ural do stacji Ałga.

Miś wspomina „...*W tym czasie wiele widziałem. Za okienkiem zmieniające się krajobrazy: rzeki, pola, miasta, inne pociągi z ludźmi. A w wagonie: śmierć, porody, strach, radość, klótnie, pocieszanie się, ludzką niedolę, ludzką fizjologię, ludzkie sprawy dewastacji w nieludzkich*

okolicznościach. Wszak była wojna. Mój mały misiowy rozumek nie mógł pojąć dlaczego wywożono tyle ludzi gdzieś w obce strony, do jakiegoś Kazachstanu. Myślałem, że teraz już pojedziemy do jakiegoś domu...”

To jeszcze nie był kres wędrówki. „Gruzawikiem” czyli ciężarówką przewieziono wszystkich nieszczęśników w step 95 kilometrów, aż pod miasto Aktiubińsk, do kołchozu „Mirowaja Rewolucja”. Tutaj był kołchoz w którym dorośli musieli podjąć ciężką pracę.

„...Kolchoz to taki olbrzymi teren ziemi państwa radzieckiego, gdzie zatrudnieni ludzie pracowali przy zwierzętach, w sadzie, siali i zbierali zboże, sadzili i doglądali warzywa, i wszystko co wyrosło i dojrzało, a nadawało się do jedzenia, zbierali, pakowali i wywozili dla wojska, Armii Czerwonej...”. Wyjaśnienie konieczne dla najmłodszych, obecnie potrzebne jest pewnie także dla starszej młodzieży nie potrafiącej zrozumieć jak funkcjonowało państwo sowieckie.

Miś kontynuuje *„...Mieszkaliśmy w ziemiance u starej Kazaszki Oczerenczychy aż do wiosny 1941 roku. Mama Tosia chodziła do pracy 20 kilometrów w step, do sadu i tam podlewała drzewa i krzewy owocowe, warzywa, pielęgnowała je, odchwaszczała, pielila, zbierała owoce ale nie dla siebie, dla wojska. Oczywiście wszyscy pracujący byli pilnowani, aby czegoś nie ukradli, albo sami nie zjedli...”. Bo głód był stałym uczuciem towarzyszącym pracującym ponad siły.*

Kolejnym miejscem „priesielenija” był Tanaberhen. Tutaj *„...Dorośli doglądali bydło, mama Tosia woziła ziemię furmanką, Leszek chodził z innymi dziećmi truć susły w stepie, czasem nawet udało mu się pojeździć na wielbłądzie. Czasem zabierał mnie na to trucie susłów. Dzieci z dorosłym dozorcą jechały na wozie lub furmance w step, gdzie były norki susłów w ziemi...”*

Trucie susłów to szokujące zajęcie ale tamta rzeczywistość była szokująca w każdym calu, każdego dnia. Miś niemal jak te susły nawąchał się trutki. Jest zatroskany i wyznaje *„...dobrze że ja, a nie Leszek, jeszcze by się zatrul, jak te susły...”*

Z przejściem słuchamy kolejnej przygody *„...Wszyscy wtedy głodowali, nie było jedzenia, były choroby i wszy. Dla mnie, misia też stał trudny czas. Mama Tosia wiedząc jak bardzo Leszek był ze mną zżyty, próbowała po kryjomu zamienić mnie na kilo mąki, masło, ser, czy jajka. Wzięła mnie i schowała pod kocem, że niby się gdzieś schowałem, a gdy chłopiec pójdzie w step miała mnie wziąć zanieść na targ. Leszek zobaczył, że mnie nie ma na stałym miejscu, zaczął nerwowo szukać, przerażliwie płakać i krzyczeć, a znalazłszy mnie, przytulił mocno do siebie*

i pobiegł ze mną w step. Przyczailiśmy się za niewielkim pagórkiem...". Tak chłopiec uratował misia! Nadszedł czas choroby, najpierw chłopca, potem jego mamy. Szczęśliwie udało im się wyzdrowieć. Skończyła się wojna.

Mama nie ustawała w staraniach o uzyskanie zgody na powrót do Polski. *„Gdy mama Tosia miała w ręku „bumagę” na wyjazd z ZSRR, przybiegła do domu, zawołała Leszka, kazała mu rzucić wszystko, wziąć ze sobą tylko to co koniecznie niezbędne.*

– Pospiesz się, musimy uciekać zanim się rozmyślą. Pakuj się szybko i ubieraj.

– Wyjeżdżamy, wracamy do Polski! – Leszek oczywiście wziął mnie". Miś jest wyraźnie dumny z chłopca-przyjaciela, który nigdy o nim nie zapomina.

To jeszcze nie był koniec problemów. Była kradzież kuferka i torebki. I tym razem Lesio nie puścił misia. Był napad banderowców na wieś Drohojowo. Miś nieco się podwędził, osmalił. Dziarsko mówi *„...Leszek szybko ugasił ogień, a potem mama Tosia przyszyła mi latki na łapkach...".* Jak wszyscy Sybiracy, miś zesłaniec ma za sobą wiele trudnych chwil. Pan Michał Korol nigdy nie wrócił do syna i małżonki.

Opowiadanie córki Leszka, pani Marii „Marzeny” Korol zasługuje na uwagę, bo jest świadectwem pamięci niełatwych losów jej najbliższych, jest dowodem jej literackiego talentu.

A miś został eksponatem w „Chacie Sybiraka” w Szymbarku na Kaszubach, gdzie w 2015 roku odbywał się Światowy Zjazd Sybiraków. Żegna się z nami *„...Jestem w gablotce. Teraz wszystkim, którzy zechcą mnie oglądać opowiadam o losach jednego pluszowego misia i jednej polskiej rodziny...".*

Miś jest dowodem tułaczki, prześladowań i zatracenia wielu naszych rodaków, niezależnie od wieku, bowiem wszyscy Polacy, nie wyłączając najmniejszych dzieci byli uznawani za wrogów państwa radzieckiego.

ZBIGNIEW LESZCZYC MIROSLAWSKI

„MOI PAPIEROWI KOCHANKOWIE” Ewy SONNENBERG

„*Moi papierowi kochankowie*” Ewy Sonnenberg to książka niezwykła. Napisana jak wspomnienie o 8 bohaterach, wybrankach autorki. Tyle tylko, że owi „papierowi kochankowie” to postacie wybitne, dobrane na podstawie specyficznego klucza, postacie historyczne: Leonardo da Vinci, Michał Anioł Buonarroti, Arthur Rimbaud, Ludwig Wittgenstein, Jean Cocteau, malarz Francis Bacon, Andy Warhol i David Bowie.

Istotniejszym niż poszukiwanie klucza takiego a nie innego wyboru wydaje się osobiste zauroczenie, przenikanie wręcz do inspiracji, metod twórczych i oddziaływania dzieł przywołanych artystów, bo i filozofa Wittgensteina można obdarzyć taką etykietą.

Nie o sprawozdanie z treści wypełniających książkę tutaj idzie. Kogo zaciekawi tytuł, kto zechce sięgnąć po lekturę po zaznajomieniu się z doborem prezentowanych „gwiazd”. Ten niewątpliwie odnajdzie własne ścieżki i drogi do percepcji omawianej pozycji.

Dlatego także i dla mnie refleksje związane z przeżywaniem czytanych treści stanowią najważniejsze kryterium opisu. Czy jednak każdy potrafi powiązać własne doświadczenia z tak rozległym horyzontem treści zaczynających się w epoce renesansu a kończących się współczesną wersją jednoaktowego dramatu pt. *Kaligula* to już inna, indywidualna sprawa.

13 odsłon Leonarda to tyleż krótkich akapitów, osobistych spostrzeżeń. Rzemieślnik czy artysta? Sztuka nie jest pracą, jest nieobecnością... Słowa rzucane jakby mimochodem a przecież będące efektem głębokich przemyśleń. Od narodzin, przywołuję wybiórczo... poprzez cinquecento, maniera moderna, akme, po... wyższość nierealnego nad realnym, kiedy „towarzysz samotni” „...zdziwieniem siadał na powiekach, kierował myślą...”. Tak, takie właśnie konstatacje pojawiają się w głowie 5 letniej dziewczynki (sic!).

Dlatego też oznaczyłem na moim profilu na Facebooku autorkę omawianej pozycji przy skanie mojego wiersza pt. „*Humaniści*”, ze zbioru „*Rozgościć się w chmurach*”. W nim dostrzegam Campagnia di Dottina: Cristoforo Landino, Marsilio Ficino, Pico della Mirandolę, Angelo Poliziano; prekursorów prądu umysłowego, którzy dzięki Lorenzo „*Il Magnifico*” dokonują epokowego przełomu a „...wszystkie wierzenia i religijne systemy: / Awesta, Biblia, Talmud, Tao i Koran, / brzmią jak te same sylaby łączącego je Słowa...”.

Wracam do tematu w zbiorze pt. „Olśnienia” odnajdując na Montecchio platany z Gaju Akademosa, ponownie doceniając rolę prekursora nowych tendencji – Ficino, jego przyjaciół, wśród nich Botticellego. Namalowana przez niego Wiosna (Primavera) to w skrócie cały system filozoficzny. Centralna pozycja Wenus jest prefiguracją Maryi. Antyki i quattrocento przeplatają się z akcentem na szczodroblliwość, bezwarunkową miłość i napowietrzny taniec będący Wszechświata obrotem. Szukamy podobnych źródeł? Pewnie nie tylko ja i Ewa Sonnenberg. Wszyscy podążamy drogą do uzyskania zrozumienia sztuki, artyzmu, samorealizacji?

Trud pracy rzeźbiarza, zrozumienie kamienia, posłyszenie rozmowy bloków trawertynu z granitami i kolorowymi marmurami to odpowiedź na wyzwania przestrzeni żądającej formy! Ukazanie na fresku wiatru! Ręki Stwórcy! „To narodziny poezji w kamieniu” pisze autorka i dodaje „Jeśli istnieje natchnienie, to jest nim zapomnienie samego siebie / Jeśli istnieje miłość, to jest nią pocałunek, którego Michał Anioł nigdy nie wyrzeźbił.”

Rimbaud oprócz swojej poezji stał się symbolem. Jego wzywane i opisywane chłody są arcy poematem. Przemienia „...błazna w mędrca, kurtyzanę w lirykę...”, upomina się o szaleństwo, buduje monument wyobcowania. Postawionych zostaje wiele ważnych pytań, wśród nich i to „Ile statków obłąkanych cumowało na brzegach... (jego, przyp. aut.) wyobraźni...”. Rimbaud i Verlaine tragiczne splątanie. Wizyjność Iluminacji i Sezonu w piekle, zmierzchy i przejaskrawienia, „...rzeczy mgliste i nieujawnione, ukrywające w sobie osierocone uczucia są jak znaki wypalane na skórze, blizny, w których zamieszkują demony przeszłości...”. O tym przeczytamy, otrzymując dodatkowo sporo doskonałych cytatów. Także podsumowanie „Do słów się dorasta, tak jak się z nich wyrasta. Początek i koniec jest milczeniem. ...Być może jego milczenie mógłby wytłumaczyć mój sen... Tekst-wiatr, podmuchy od prawego do lewego...ból...”. Odczucie bólu podczas percepcji tych treści jest podstawą pojmowania.

Najtrudniej przybliżyć się do Wittgensteina. W Tarnowie, gdzie mieszkam, nabył on *Evangelie* Lwa Tołstoja. Wątki spotkań z R.M. Rilke i G. Traklem to istotna część jego życiorysu. Podkreślałem ołówkiem stwierdzenia filozofa i komentarze poetki. Właściwie można by podkreślić wszystko i to, że „Świat jest rodzajem hologramu” i to, że „Spirala DNA jest tożsama z kształtem naszej galaktyki”, „Układ Słoneczny jest sytuacją, w którą wpisany jest nasz świat jako jeden z możliwych”. Wiedza z zakresu fizyki kwantowej staje się nieodzowna. Na szczęście to dziedzina mojej dociekliwości. „Wieloświatów przestrzenie” to zbiór w którym piszę o uwolnieniu bozonu Higgsa, o „Podróżach z filozofią w tle” ks. Hellera,

o Wiecznym Teraz i o świecie świata „...co się poczyną w nas...”. I konstatacja „Kiedy słońce wyjdzie z naszych splotów słonecznych na wolność, wtedy z piersi wyleje się ogrom, którego nikt nie pojmuje...”, podrozdziały: o słowie, 7 tezach, muzyczności, kodzie mistycznego niepokoju, zderzeniu mistyki z logiką, wspinaniu się po drabinie filozofa, o uwidacznianiu niewidocznego, o intuicji, egzystencjalnym ryzyku i kontekście globalnym są kondensacją Traktatu logiczno-filozoficznego.

Z Cocteau mierzyłem się już wcześniej! Przy okazji zapoznawania się z biografią Picassa. W „Zastygłych pejzażach” z 2007 roku pisałem o twórcy kubizmu i jego kompanach: Maxie Jacob, Apollinaire, Paulu Eluard i Jeanie Cocteau. Powrócił do mnie wraz z wizytą w Cafe de Flore, kawiarence lewego brzegu Sekwany, opisaną obok Les Deux Magots przez Ewę Sonnenberg. Bogactwo wydarzeń w latach dwudziestych to do dzisiaj nie w pełni poznane i rozpoznane: manifesty, wystawy, szaleństwa. Diagilew, Duchamp, Man Ray, Gertruda Stein, Andre Breton i tylu innych. O każdej z tych osób wiele wiemy, o każdej napisano różne rozprawy ale ich współlistnienie, wzajemne oddziaływanie, duch owego czasu? To udaje się ukazać w „Moich papierowych kochankach” w sposób szczególny. Nie próbuję nawet tego opisać. Namawiam do osobistego skosztowania... wejścia w tunele światła, słowa-byty, poësie.

Nieomal współczesny, zmarły w 1992 roku Francis Bacon, autor „Portretu papieża Innocentego X”, „Trzech studiów do portretu Luciana Freuda” rozmawia z nami językiem symboli. Ewa Sonnenberg udowadnia swoją kompetencję tak w recenzji literackiej jak i w recenzji sztuki. Moc jej argumentów, siła spostrzeżeń, wydobywane i nazwane piękno stają się atutami jej własnej kreacji. Odrzucenie, cierpienie, bezpodmiotowość i bezprzedmiotowość to akapity tak trafnie oddające sedno prawdy o malarzu, że poznajemy jego biografię i wszystkie pytania „dlaczego?” stawiane jego dziełom aż po „...the one perfect picture...”.

Warhol. Podejście do życia bez dramatyzowania. What for? Wyjaśniające wszystko? Amerykańskie: keep smiling, przedmioty, widokówki, fabryka artystów, tryumf chwili nad prawdą, święte hamburgery, bardziej business niż bunt.

Wreszcie Bowie! Odsłona własnej wrażliwości. Przeczuwany od urodzenia! Kosmiczna siostra. Spotkany na koncercie w Pradze, dotknięty. Wyznanie „Tacy jak my nie mają swojego miejsca na ziemi”. Rozdział najwspanialszy ale dlatego też bez szerszego komentarza. Album Best of Bowie kupiłem w Oxfordzie w styczniu 2016 roku. Wówczas wokalista należał już do wieczności. Rozgościł się w chmurach jak kiedy wspominałem o nim opisując ceremonię otwarcia londyńskiej olimpiady.

SPIS TREŚCI

WSTĘP	3
POEZJA	
Zuzanna Abrysowska	
<i>Czarna dziura</i>	5
<i>Czym się martwimy</i>	5
<i>Wróć bajko</i>	6
<i>Ja</i>	6
<i>Kraina wulkanów</i>	7
<i>Bawoły</i>	7
<i>Kupujcie, kupujcie</i>	8
<i>The Dragons</i>	8
<i>Poranny spektakl</i>	9
Dorota C. T. Karecka	
<i>Słońce</i>	10
*** <i>dziwne, że do nagłówka</i>	10
<i>Przerwa na dzieciństwo</i>	11
<i>Katedra</i>	11
<i>Autostrada to nie deptak na Wałowej</i>	12
<i>Na cmentarzu</i>	13
<i>Słodycz</i>	13
<i>A że królikowi niewygodnie</i>	13
Monika Chytrós (Godgott La Morgue)	
*** <i>Znalazłem serce</i>	14
Krystian Janik	
<i>Morrison</i>	17
Maria Kwater	
*** <i>Wysłałam dzisiaj list w butelce</i>	18
<i>Dla Niej</i>	18
<i>Linie życia</i>	19
<i>Potrzeba miłości</i>	19
<i>Pamięci mojego ojca</i>	20
<i>Pamięci Czesława Niemena</i>	20
*** <i>Kiedy Anioł ogłosi nowinę</i>	21

*** <i>W pustym pokoju</i>	21
<i>Dlaczego?</i>	22
<i>Tęcza po burzy</i>	23
Maria „Marzena” Korol	
*** <i>Skromny las na Koskowej Górze</i>	24
<i>Jesienią</i>	24
*** <i>Góry jesienią to góry spełnione</i>	25
*** <i>W każdej kropli deszczu</i>	25
*** <i>Moja babcia była zwykłym człowiekiem</i>	26
Zbigniew Leszczyc Mirosławski	
*** <i>Niedziela, za oknem nie widać ruchu samochodów</i>	27
*** <i>Trudno schronić głowę</i>	27
<i>W westminsterskim opactwie (W Westminster Abbey)</i>	28
*** <i>Rodzinne pamiątki</i>	29
Amelia Romanowska	
<i>Czym jest ŻYCIE?</i>	29
Dariusz Romanowski	
<i>Tutaj wystarczy</i>	30
Mirosław „Eric” Sułkowski	
<i>Myszołów</i>	31
<i>Bańki mydlane</i>	32
<i>Mgła</i>	32
Withkacy Zaborniak	
<i>powroty</i>	33
<i>zostałem sam</i>	33
<i>biegną we mnie samotne szlaki</i>	34
<i>Impas</i>	35
PROZA / RECENZJE	
Zbigniew Leszczyc Mirosławski	
<i>Broczkowsky – dzieje dziewięciu pokoleń</i>	36
Maria „Marzena” Korol	
<i>Był sobie miś</i>	50
Justyna Sznajder	
<i>Labirynt</i>	56

Łukasz Pfeifer	
<i>Trochę inaczej o eksporcie</i>	60
Małgorzata Płanik	
<i>Depeche Mode „Spirit” (recenzja)</i>	87
Zbigniew Leszczyc Mirosławski	
<i>Miś ma głos – recenzja opowiadania Marii Marzeny Korol</i>	89
<i>„Moi papierowi kochankowie” Ewy Sonnenberg (recenzja)....</i>	93